

Sławni znani i nieznani

mieszkańcy z terenu powiatu wielickiego

Opracowanie pod redakcją
Wydawcy i Redaktor Naczelnej Barbary Zapadlińskiej

Autorzy tekstów:
Władysław Żołubak
Barbara Zapadlińska
Barbara Panuś
Ignacy Kowalewski

Grafiki:
Władysław Żołubak

Wieliczka 2019

ISBN: 978-83-940497-0-6

Ilość sztuk: 500

Książka bezpłatna

© Wydawnictwo „Sal-Press” Barbara Zapadlińska

Redakcja Panoramy Powiatu Wielickiego

ul. Ks. Zygmunta Goliana 4a

32-020 Wieliczka

tel. 12/278-17-62

www.panorama.wieliczka.pl

*Książka ta jest wyrazem wdzięczności
i nadziei. Wdzięczności Panu Jezusowi
za łaskę 25 lat wydawania Panoramy,
nieprzerwanie, za okazane miłosierdzie.
Wyrazem wdzięczności wszystkim, dzięki
którym gazeta powstała i jest nadal.
I nadziei, na kolejne lata, na dobre
zespoły redakcyjne, na kolejne jubileusze.*

SŁOWO WSTĘPNE

Nasi najmilsi

Pragnę, aby ta książka była pamiątką jubileuszu 25-lecia wydawanej przez nas Panoramy. „Sławni znani i nieznani mieszkańcy z terenu Powiatu Wielickiego” to tytuł pokazujący, jak piękni są nasi mieszkańcy, jak niezwykle możemy być z nich dumni. Opisujemy w książce postaci, które dokonały wielkich dzieł, od czasu bitwy pod Grunwaldem po czasy współczesne.

Poprzednie jubileusze świętowaliśmy organizując dla Czytelników konkursy z cennymi nagrodami. Tym razem narodził się pomysł wydania na tę okoliczność książki, która, bezpłatna, trafi do znacznie większej liczby osób, będzie też dostępna w pliku pdf do pobrania lub czytania bezpośrednio na stronie www.panorama.wieliczka.pl Mam nadzieję, że będzie pamiątką, którą umieścicie Państwo w domowych biblioteczkach, będzie również dostępna w bibliotekach. Powiat Wielicki jest znany nie tylko dzięki najsłynniejszemu na świecie zabytkom, jak Kopalnia Soli „Wieliczka”, do której często przybywali najznamienitsi, poczynając od głów koronowanych. W Wieliczce, a szczególnie w podziemiach Kopalni Soli bywali i bywają najsławniejsi tego świata. I każdy, kto do nas przybywa jest ważny i mile witany, bo ziemia naszego powiatu jest wyjątkowa pod każdym względem, słynie nie tylko bogactwem podziemi, ale też ludzkich serc, bo zrodziła wielu wspaniałych ludzi. I o nich jest ta książka, ale i wiele publikacji, wydawanych przez Muzeum Żup Krakowskich i inne instytucje kultury, organizacje, wydawnictwa. Książka niniejsza mam nadzieję, że zostanie włączona życzliwie na tę listę i życzliwie przyjęta, o co serdecznie prosimy. Wybaczcie Państwo nasze nieumiejętności, to nasz debiut wydawniczy.

Pragniemy przybliżyć Państwu bohaterów tej książki, znanych w swoich czasach a nawet sławnych. Byli wspaniałymi ludźmi. Ich życie, drogi, którymi prowadziła ich Opatrzność, cechy ich charakteru, życiowe próby przez które przechodzili, czasy w których przyszło im żyć są warte przemyślenia i rozważenia. Czas biegnie tak szybko. O wielu z nich nawet nie wiemy, że byli mieszkańcami naszego powiatu lub też wiemy niewiele. O wielu może zapomnieliśmy mimo, że tak wiele im zawdzięczamy. Warto powrócić myślą do tych czasów. I zapatrzeć się na osoby, z których siedem zostało wyniesione na ołtarze. Tyle informacji udało nam się zebrać, bezcennych, bo to nasi najbliżsi wstawiennicy przed Panem Bogiem. To nasz skarb w Niebie: słudzy Boży s. Emilia Podoska, br. Alojzy Kosiba, o. Anzelm Gądek oraz błogosławieni o. Narcyz Turchan, ks. Władysław Błądziń-

ski, ks. Wojciech Nierychlewski, o. Krystyn Gondek. A bywał w Wieliczce u przyjaciół często Karol Wojtyła, przyszły papież i święty, Jan Paweł II.

Także plejada gwiazd wywodzących się z terenu naszego powiatu jest długa, tę listę można rozpocząć od Ludwika Solskiego. U nas, naszych mieszkańców gościnnie mieszkał tworząc tu piękne dzieła Artur Grottger. O gościnności wielickiej ziemi świadczy fakt przyjęcia właśnie u nas Bohaterek Wrześni. Mało kto wie o tym, że rodzina Wajdów wywodzi się z Szarowa, a Jakub Wajda ojciec Andrzeja, to wspaniały człowiek i polski żołnierz, ofiara zbrodni katyńskiej. Stąd wywodzą się korzenie rodzinne sławnego reżysera, o czym często wspominał. Te i inne opowieści dotyczące tak niezwykłych osób, dotyczą szczególnie czasu ich pobytu na terenie Powiatu Wielickiego, z racji urodzenia, zamieszkania, pobytu czasowego, są warte przeczytania i zapamiętania. Możemy w ten sposób myśłami przenieść się do tych czasów i może poznając bliżej tych ludzi, zaprzyjaźnić się z nimi, jak to uczynił Władysław Żołubak, autor znacznej części tekstów tej książki, pasjonat i nauczyciel historii. Umieścić w jej tle ludzi, którym było dane dokonać czynów bohaterskich, jak choćby oddając hołd Walerianowi Czumie, dowódcemu Powstaniem Warszawskim a i wartemu poznania i docenienia powstańcowi, sybirakowi, żołnierzowi Karolowi Malinowskiemu. Wśród ludzi, którzy go tak zafascynowali był Antoni Pajdak, znany polski przedstawiciel najwyższych władz Polski Podziemnej w czasie okupacji hitlerowskiej, podstępnie aresztowany przez sowietów, którzy mu wymierzili proces bolszewicki. Pan Władysław zbierał materiały jeżdżąc czasem po całej Polsce, nierzadko całymi latami przeszukując archiwa, rozmawiając z ludźmi.

Warto podkreślić, że artykuły o nieznanym faktach historycznych dotyczących zarówno historii jak i Mieszkańców Powiatu Wielickiego napisane przez tak wiele tak godnych szacunku osób, od lat publikowane były w Panoramie Wieliczki a obecnie w Panoramie Powiatu Wielickiego, za co wszystkim, którzy je zamieścili i zamieszczają w Panoramie, bardzo dziękujemy. Od samego początku współpracuje z Panoramą i napisała do gazety niezliczoną ilość artykułów Barbara Panuś, której teksty także z radością zamieszczamy w niniejszej książce. Do publikowania historycznych tekstów w Panoramie zaprosiliśmy, i dziękujemy, że się zgodził, Ignacego Kowalewskiego. To znany pasjonat i autor historycznych dzieł filmowych, utrwalający od wielu lat odchodzący świat, żołnierzy AK, znane i bezcenne dla historii Wieliczki i Powiatu Wielickiego postaci, opatrując materiały własną muzyką i tekstami. Zawsze chętnie się nimi dzieli, oczekuje na zaproszenia na projekcje, także w szkołach. Mnie z kolei zafascynowały postaci osób

świętych z terenu naszego powiatu oraz ich liczba. Poznawanie historii ich życia jest niezwykle podróżą duchową.

Zdaję sobie sprawę, że osób, które zasługują na napisanie o nich jest bardzo, bardzo dużo. I każdy z nas mógłby ich wymienić wiele i na pewno powstaną o nich kolejne książki i artykuły. Bardzo byśmy tego pragnęli. Osoby które dysponują tekstami lub ciekawymi materiałami źródłowymi zapraszamy do współpracy. Wszystkim, którzy wydadzą kolejne książki już teraz z serca gratulujemy.

Tak więc jak muzycy świętują jubileusze przygotowując na ten czas koncerty, malarze – wystawy, tak i my świętując pragniemy się z Państwem dzielić radością. Bo to nasz wspólny jubileusz. Dziękując za ten piękny czas zapraszam do czytania kolejnych wydań Panoramy Powiatu Wielickiego a także do przeczytania tej książki.

***Wydawca i Redaktor Naczelna
Barbara Zapadlińska***

Historia Panoramy Wieliczki i Panoramy Powiatu Wielickiego

Srebrny jubileusz

25 lat to tak wiele i niewiele zarazem. W życiu człowieka – to dopiero wejście w dorosłość, w działalność – pewna dojrzałość, lecz w czasie, który przeszła w tym okresie cała Polska i nasza społeczność – epoka. Pierwsze wydanie Panoramy Wieliczki ukazało się 17 września 1994 roku. Gazeta była wówczas jedyną, choć nie pierwszą gazetą w Wieliczce, była dwutygodnikiem a cena egzemplarza wynosiła, proszę sobie wyobrazić, 5000 zł. O tym, jaką drogę przeszliśmy od tego czasu świadczą tematy artykułów. Dla niektórych naszych Czytelników, szczególnie najmłodszych, będą jakby z poprzedniej epoki:) Informacje z Wieliczki – w sierpniu uaktywnił się ponownie w Kopalni Soli „Wieliczka”, po dwóch latach, wyciek Mina, informacje z Polski – Kraków boi się „Gumisia” zaś w przypadku aktualności ze świata – Panorama pisze o wycofaniu z Berlina wojsk alianckich, co nastąpiło w tydzień po opuszczeniu miasta przez wojsko rosyjskie. A co się dzieje w Wieliczce? W pierwszym wydaniu są informacje podsumowujące poprzednie miesiące. O czym pisze Panorama? Oto niektóre z tematów: od lipca proboszczem parafii pw. św. Klemensa jest ks. Zbigniew Gerle, Kopalnia otrzymała wstępną decyzję o zaprzestaniu produkcji soli warzonej, jest też relacja o otwarciu w strugach deszczu Szkoły Podstawowej w Sierczy. W czerwcowych wyborach samorządowych zwyciężyła „Samorządna Wieliczka”. Pierwsza sesja odbyła się w Szttygarówce, gdzie radni wybrali prezydium Rady Miejskiej z przewodniczącym Zbigniewem Zarębskim oraz w głosowaniu burmistrza Józefa Dudę. Rozpoczął się też czas modlitewnego przygotowania Wieliczčan do uroczystości Koronacji Papieskimi koronami cudownego Obrazu Matki Bożej Łaskawej Księżnej Wieliczki, którą zaplanowano na 4 czerwca 1995r., w święto Zesłania Ducha Świętego. Muzeum Żup Krakowskich informuje o wzrastającej ilości sympatyków koncertów Straussowskich a na rynku lokalnym wydawniczym pojawiają się „Bajki Pana Majki”. Tyle tytułem wprowadzenia w ówczesną rzeczywistość.

Wydawcą gazety jest „Sal-press” Sp. z o.o. a założycielami: Janusz Kmieciak, +Stanisław Smoter oraz Stanisław Siess-Krzyszkowski, który zostaje wybranym prezesem spółki. Redaktorem naczelnym zostaje wówczas Leszek Horwath, sekretarzem Redakcji Ryszard Kubowicz. Pierwsza siedziba Redakcji mieściła się przy ul. Daniłowicza 8 (obecnie w tym miejscu, tuż obok Szybu Daniłowicza, znajduje się parking). Pierwsze wydanie miało 20 stron a gazetę w nakładzie 3 tys. egzemplarzy wydrukował Zakład Poligraficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Od 1 stycznia 1995r. Panorama jest już miesięcznikiem i ma wyższą cenę, 8000 zł za egzemplarz. Od 1 lipca 1996 roku, po denominacji, miała już cenę 1 zł. Jedyne wydanie z kolorową okładką ukazało się w połowie września 1996 roku. W drugą rocznicę działalności „Panorama” wyszła z inicjatywą zorganizo-

wania na płycie Rynku Górnego wielkiego przeglądu działających w Wieliczce firm: Panoramy Gospodarczej Wieliczki. Do organizacji włączyli się współpartnerzy.

Od 15 listopada 1997r. następują kolejne zmiany. Tytuł zakupiła Kopalnia Soli „Wieliczka” Trasa Turystyczna, w trosce, aby Wieliczka posiadała gazetę lokalną. Prezesem „Sal-Press” Sp. z o.o. oraz redaktorem naczelnym została Barbara Zapadlińska. Prezesowi Marianowi Leśnemu bardzo dziękuję za zaufanie. Funkcję redaktor naczelnej pełnię do dziś, już 22 lata. Gazeta pozostała w kręgu dotychczasowych tematów, zmieniła się jej szata graficzna i od tej pory pismo posiadało już na stałe kolorową okładkę, zwiększając ilość stron. Kolejna zmiana własności nastąpiła szesnaście lat temu, w 2003 roku. Przy tak małej działalności, koszty, formalności i przepisy jakie musiała gazeta wypełniać jako spółka, były zbyt wysokie. Prawa do tytułu nabyło Wydawnictwo „Sal-Press” Barbara Zapadlińska.

W 1998 roku angażujemy się mocno w działania na rzecz utworzenia Powiatu Wielickiego. Wydajemy dodatki specjalne przybliżające ideę nowego powiatu mieszkańcom, informujemy o podejmowanych działaniach. Podjęliśmy się wówczas rozszerzenia terenu działalności i Czytelnikami gazety zostali już mieszkańcy pięciu Gmin Wieliczka, Niepołomice, Biskupice, Gdów, Kłaj. Powstała zupełnie nowa gazeta, zachowując podstawowy człon nazwy. Panorama Powiatu Wielickiego zwiększyła nakład do 10. tys. egzemplarzy i po kilku latach nastąpiła kolejna zmiana, była wydawana już jako gazeta jest bezpłatna. Nowa gazeta została powitana z radością. Objęcie obszarem działalności terenu Powiatu Wielickiego to duże wyzwanie i dużo pracy wielu osób, i tak jest do dnia dzisiejszego. Jedną i drugą gazetę łączy wspólny tytuł „Panorama”, stąd i jubileusz 25 lecia.

Panoramę współtworzyło i współtworzy wielu redaktorów, współpracowników, dziennikarzy zawodowych i amatorów, historyków. Dzięki temu teksty są barwne, różnorodne. Piękne okładki i szata graficzna, piękny druk są zasługą współpracujących z Redakcją grafików i drukarni. Mamy własną sieć dystrybucji, wspaniałe osoby rozwijające gazetę po całym powiecie a przy tym dziękujemy wszystkim, którzy ją przyjmują w tak wielu i różnorodnych miejscach. Jesteśmy wdzięczni za współpracę z Samorządami Gmin i Powiatu. Wielką radością i źródłem bezcennych informacji jest „Gazeta Muzealna” Muzeum Żup Krakowskich. Dziękujemy reklamodawcom, dzięki ogłoszeniom których mieszkańcy mają najaktualniejszą ofertę, potrzebną w różnych obszarach życia. Dziękujemy Państwu, naszym Czytelnikom, za zaufanie, za dobre słowo, za przyjaźń. I dziękujemy poprzednim i obecnym właścicielom budynków, za naszą siedzibę redakcyjną. Tym razem przy ul. Ks. Zygmunta Goliana 4a. Poprzednie siedziby mieliśmy w Parku Kingi 5, w nadszybiu Szybu Regis, przy Placu Kościuszki 2 oraz przy ul. Ks. Zygmunta Goliana 4b.

Należy podkreślić wielkie serce wielu wielu osób, które Z „Panoramą Wieliczki” i „Panoramą Powiatu Wielickiego” współpracowały, w której pracowały na przestrzeni tych lat. Gazeta jest wspólnym dziełem i ma misję: aby była dla mieszkańców.

Gazeta pełni funkcję informacyjną, społeczną a także reklamową. Nadal jesteśmy gazetą wydawaną bezpłatnie. Wydawaną w pełnym kolorze na papierze kredowym. Jesteśmy w pewnym sensie depozytariuszami historii. Archiwalne wydania czyta się jak książkę. Dysponujemy niezwykłym archiwum zdjęciowym z całego tego okresu.

Kupujemy się na informacjach lokalnych, istotnych dla mieszkańców naszego powiatu. Gazeta cieszy się zaufaniem Czytelników, dla których jest wydawana, i którzy oczekują na każde kolejne wydanie a gazety zachowują w domowych archiwach. Zbiory archiwalne znajdują się w wielu bibliotekach powiatowych, wojewódzkich, uniwersyteckich, także w Bibliotece Narodowej. Wydaliśmy już 320 wydań „Panoramy”. Gazeta ma obecnie nakład 9000 egzemplarzy, stronę internetową i obecna jest na Facebooku.

Wszystkim, którzy kiedykolwiek wsparli nas dobrym słowem, pomocą, radą, opieką, wszystkim reklamodawcom, wszystkim którzy na jubileusze czy konkursy ofiarowali nagrody, wszystkim którzy zapraszali nas na organizowane wydarzenia, wszystkim którzy przyjmują gazetę do siebie, do swoich domów jak miłego comiesięcznego gościa i wszystkim którzy przyjmują Panoramę Powiatu Wielickiego użyczając miejsca, z którego mogą ją zabrać czytelnicy z serca najserdeczniej dziękujemy raz jeszcze. Dziękujemy raz jeszcze wszystkim osobom, dzięki którym ta gazeta 25 lat temu powstała, założycielom i kolejnym właścicielom, redaktorom naczelnym, stałym współpracownikom, autorom tekstów i fotografii, tym którzy przygotowywali i przygotowują szatę graficzną i gazetę drukowali i drukują obecnie. Dziękujemy za współpracę Samorządom Gmin Wieliczka, Niepołomice, Gdów, Kłaj i Biskupice oraz Starostwu Powiatowemu. Dziękujemy za życzliwość Muzeum Żup Krakowskich. Dziękujemy za wieloletnią współpracę Kopalni Soli Wieliczka. A nade wszystko za ten czas 25 lat wydawania gazety, współpracę tak wielu osób i za wszystkich Czytelników, dziękujemy Panu Jezusowi i wszystkim polecamy Jego opiece. I za wszystko, czym Was zasmuciliśmy, nie spełniliśmy oczekiwań, pomyliliśmy się, przepraszamy.

Teraz Panorama obchodzi srebrny jubileusz. Marzeniem jest, aby działając nadal, wypełniając swą funkcję, przeżywała kolejne jubileusze, przekraczając złoty.

Zapraszamy do przeczytania książki wydanej na czas jubileuszu 25-lecia Panoramy. Pracowaliśmy nad jej powstaniem od 5. lat. Jest dla Czytelników bezpłatna. Dziękując wszystkim pragniemy się dzielić z Wami wspólną radością.

Bardzo dziękujemy naszym wspaniałym Czytelnikom za 25 wspólnych lat, bo też opisane w gazecie wydarzenia, tworzycie Państwo. Wy. Każde kolejne wydanie gazety to kolejna karta, która już zapisała się w historii.

***Wydawca i Redaktor Naczelna
Barbara Zapadlińska***

ZBIGNIEW Z BRZEZIA **MARSZAŁEK WIELKI KORONNY**



Kto przypuszczałby, że sięgniemy tak głęboko w historię Polski, bo aż do bitwy pod Grunwaldem, pisząc o sławnych znanych i nieznanach mieszkańców z terenu naszego Powiatu. I do tak niezwykle godnej i wartej poświęcenia dłuższej uwagi postaci, jaką jest Zbigniew z Brzezia (Gmina Kłaj), który był marszałkiem wielkim Koronnym, czyli zastępcą i prawa ręką króla Władysława Jagiełły.

Przełom wieku XIV na XV po narodzeniu Pańskim. Inne były to czasy. I wiadomo, nieco inne obyczaje. Ale sens ich pozostał ten sam do dzisiaj.

Kiedy Władysław Jagiełło wysłał do Anglii posłów, by tamtejszego władcę, który trzymał z Krzyżakami, usposobić do siebie przychylnie, przekazał mu równocześnie wspaniały podarunek, istic królewski, cztery cennej maści ogiery, jak pisze Jan Długosz w swoich „Rocznikach czyli kronikach sławnego Królestwa Polskiego”, i zapewne jeszcze kilka innych drobiazgów nie do pogardzenia.

A kiedy nasz król, mniej więcej w tym samym czasie, czyli w okresie poprzedzającym bitwę pod Grunwaldem 1410 roku, osobiście wyruszył na Litwę, na spotkanie z Wielkim Księciem Litewskim Witoldem swoim bratem stryjcznym, sam będąc Najwyższym Księciem Litwy, został przez Witolda obdarowany „dwudziestoma tysiącami grzywien szerokich groszy, czterdziestoma szubami ze skór soboli, setką koni i setką purpurowych płaszczy” i dodaje Długosz: „a całą resztę rycerzy królewskich innymi darami”. Jagiełło nakazał te cenne dary czymprędzej załadować na wozy i odesłać na Wawel, a tam ukryć w skarbcu. Z czasem wszystko to rozdał między rycerzy i służbę. Przytym nie ulega najmniejszej wątpliwości, że pierwszym, a conajmniej jednym z pierwszych na liście obdarowanych był nasz bohater, Zbigniew z Brzezia z rodu Zadorów, wśród ówczesnych możnowładców niemalże chudopachołek, właściciel kilkunastu wsi, oprócz rodowej, jeszcze Szarowa, Stradomia, Wróblowic, Krasocina i kilku innych. Nie ma wątpliwości, że chciał się dorobić większego majątku, dzierżył przecież, jako marszałek wielki Koronny, najwyższe cywilne stanowisko w państwie, ale drapieżność na dobra materialne była mu całkiem obca.

Król nie przepadał za Wawelem, w związku z czym większą część każdego roku spędzał, owszem, na ulubionych przezeń polowaniach, przede wszystkim jednak zajmował się w terenie sprawami państwowymi. Wizytował poszczególne ziemie, zlecał miejscowym władzom rozmaite zadania, a obecnie, w obliczu zbli-

zającego się Grunwaldu, osobiście przygotowywał naród do wielkiej rozprawy z Zakonem Krzyżackim.

Mimo że całe polskie rycerstwo stało pod swoimi znakami, podjęto próby powiększenia ich zastępów. Zbigniew z Brzezia postanowił przełamać polską tradycję, według której najważniejszy był honor za wszelką cenę. Opowieść wzięta z „Roczników czyli kronik Sławnego Królestwa Polskiego” Długosza, i powtórzona przez Karola Szajnochę w jego, też znakomitym dziele „Jadwiga i Jagiełło”, wyjaśnia nam, między innymi, za co król cenił Zbigniewa i sprawy cywilne państwa pozostawiał na jego głowie przez wiele lat. Oto kierował Zbigniewem zdrowy rozsądek orientujący się na dobro króla, państwa i narodu. W radzie czy w boju praktyczny, pomysłowy, szybki i odważny.

Jako cywilny zwierzchnik państwa zwołał na Wawelu ośmioosobową Radę i przedstawił do akceptacji sprawę zaciągu obcego rycerstwa. Wprost rzucono się na niego. Dużo było mowy o honorze, lecz pan marszałek wiedział co w trawie piszczy. Każdy bowiem, kto tęgo gardłował przeciwko zaciągowi obcego autoramentu, kurczowo trzymał się za swoją kieszę. W radzie przeważała zła opinia o żołnierzach płatnych. Wreszcie głos zabrał pan marszałek: „Co do mnie, nie znam lepszego żołnierza nad zaciężnego. – powiedział – Jeśli bowiem zwycięży, zapłaci go kraj zwyciężony; jeśli zaś da się pobić, nikt go nie płaci”. Ta błyskotliwa riposta ujęła wszystkich swym świetnym rachunkiem. I niebawem rada królewska ściągnęła do Polski przeszło 10.000 żołnierstwa konnego, z przewagą Czechów.

Zbigniew pociągnął pod Grunwald ze swoją 34 chorągwią. Tam Wódz Naczelny Władysław Jagiełło zrobił go swoim zastępcą, a równocześnie dowódcą wojska polskiego i czeskich oddziałów zaciężnych, natomiast dowódcą wojsk litewsko – ruskich, Tatarów i posiłków mołdawskich był Wielki Książę Witold.

Druzgocące zwycięstwo nad Krzyżakami, w którym niebagatelny udział miał nasz bohater, zostało zapisane w historii złotymi literami pod datą 15 lipca 1410 roku. Zbigniew z Brzezia jeszcze długo służył Państwu Polskiemu. Zmarł w roku 1425 w wieku 65 lat.

Władysław Żołubak

SŁUGA BOŻA S. EMILIA AURELIA PODOSKA OFIAROWAŁA BOGU ŻYCIE



Sługa Boża Siostra Emilia Aurelia Podoska (1845-1889) urodzona w Grajowie koło Wieliczki. Zapamiętana w rodzinnej posiadłości jako „pani wyjątkowej dobroci” i w Zakonie Norbertanek, w intencji odnowy którego złożyła ofiarę z życia. Kult prywatny s. Emilii Podoskiej rozszerza kręgi, proszący o jej wstawiennictwo otrzymują w potrzebach łaski.

Emilia Podoska urodziła się w Grajowie, koło Wieliczki, 7 września 1845 roku, jej rodzicami byli Jakub Józef herbu Junosza Podoski i Maria Kołodziej-ska z Ochotnicy Dolnej. Urodziła się jako jedenaste dziecko, miała siedem siostr i siedmiu braci. Ochrzczona została w Kościele Parafialnym w Ptaszkowej nie-daleko Nowego Sącza, gdzie posiadali dom rodzinny i oddana przez rodziców Bogu na własność. Gdy miała osiem lat, zmarł jej ojciec, powstaniec z 1830 roku. Jej życie toczyło się w czasie trudnym, niewoli, rozbiorów Polski. Po ukończeniu edukacji Emilia Podoska powróciła ze szkoły klasztornej do domu, gdzie uczyła wiejskie dzieci czytania, pisania i zasad wiary, opiekowała się chorymi. W wiosce nazywano ją „panią wyjątkowej dobroci”. Z matką i siostrami szyła i haftowała szaty liturgiczne do kościołów. W 1863 roku dwaj bracia Emilii Podoskiej wzięli udział w powstaniu styczniowym. Trzech udało się na emigrację. Rodzina na umundurowanie i uzbrojenie powstańców pospiesznie sprzedała Grajów, kobiety oddały na ten cel kosztowności. Wówczas też przeprowadzili się do Ptaszkowej, drugiego majątku Podoskich.

Podczas chrztu św. została przez rodziców oddana Panu Bogu na służbę i wła-sność, ociągała się w zrealizowaniu obietnicy poczynionej w jej imieniu, czytamy w książce o życiu Emilii Podoskiej „Światło w mrokach”. Mając dwadzieścia lat Emilia Podoska, zdecydowała się przyjąć szaty zakonne. Wybrała zakon norber-tanek. Wcześniej jednak w Klasztorze ss. Klarysek w Starym Sączu ukończyła Wyższą Szkołę Panieńską, gdzie odbywała praktykę nauczycielską, którą kontynuowała w żeńskiej szkole Norbertanek na Zwierzyńcu. Tam wstąpiła do zakonu. Miała już za sobą szereg decyzji życiowych, a w samym zakonie była przykładem miłości Boga i ludzi. Habit zakonny przyjęła w 1872 roku. Jej powołanie zakonne było szczere i prawdziwe, Przykładem wpływała na siostry, by ją naśladowały. Zajmowała się pracą pedagogiczną w szkole zakonnej, której została kierowniczką, w 1886 roku została mistrzynią nowicjatu, którą była do śmierci.

Upraszała powrót wspólnoty zakonnej do prawdziwej obserwacji (boleło ją rozluźnienie klauzury) i gorliwości w służbie Bożej. W Księdze wpisowej panien wstępujących do klasztoru PP Norbertanek na Zwierzyńcu w Krakowie odnotowano: „Umarła z regułą w ręku. Ofiarowała swoje życie Bogu w intencji odrodzenia Zakonu. Pan Bóg przyjął ofiarę, zmarła mając 43 lata. W rok po jej śmierci przeprowadzono reformę w klasztorze zwierzyńskim, a później w całym zakonie norbertańskim. Zmarła w opinii świętości. Swoją wiernością powołaniu, sumiennością, miłością i rozważą zasłużyła na to miano. Zasnęła w Panu 22 maja 1889 roku na nieuleczalną wówczas gruźlicę. Z obawy przed infekcją ze względów sanitarnych zniszczono wszystko, z czym miała bezpośredni kontakt. Pozostał jej notatnik – modlitewnik, korespondencja i inne pisma zostały spalone. Pamiątki rodzinne nie przetrwały wojny, najbliższa rodzina wymarła.

W archiwum Klasztoru znajdują się dwa zeszyty zapisków duchowych, pierwszy z tytułem - „Dzień Oblubienicy Pańskiej w obecności Bożej spędzony – rok 1877-1878” liczący 173 drobno zapisane strony z refleksjami z rekolekcji przed jej ślubami wieczystymi, wskazówki do prowadzenia gorliwego życia wewnętrznego, modlitwy, wiersze i pieśni. Służebnica Boża rozczytywała się w Piśmie Świętym oraz arcydziełach literatury ascetycznej. Znała ćwiczenia duchowe św. Ignacego Loyoli, pisma św. Jana od Krzyża i Teresy z Avila – pisze we wprowadzeniu do „Oblubienicy Ukrzyżowanego Zbawiciela” ks. Stanisław Piech. Drugi rękopis o 36. stronach ma tytuł „Mój kierunek”. Zachowało się ponadto kilkanaście stron jej „Ćwiczeń i modlitw na Wielki Post”. Wydany drukiem wybór pism i rozważań siostry Emilii - „pozostawione notatki, to niezwykle wymowne świadectwo jej wytrwałej, podejmowanej każdego dnia na nowo, usilnej pracy nad sobą, byle tylko być z Chrystusem – to słowa s. Pauli Zofii Torczyńskiej - Choć upłynęło już ponad 100 lat od jej śmierci, to jednak gorącością swojej miłości do Chrystusa, Jedyne Oblubieńca swej duszy, może ona zachwycić współczesnego człowieka i zachęcić do radosnego i wytrwałego pielgrzymowania drogami rad ewangelicznych.

- Twoją jestem Jezu Panie – pisze siostra Emilia – Twoją każdym życia tchnieniem. Eucharystia i pokuta były jej siłą, wielkie nabożeństwo miała do Matki Najświętszej. Okazuje się, że z Bratem Alojzym Kosibą mieli tego samego opiekuna duchowego, franciszkanina o. Mejhiora Kruczyńskiego.

Kult prywatny s. Emilii Podoskiej rozszerza kręgi, proszący o jej wstawiennictwo otrzymują w potrzebach łaski. Jest wzorem prawdziwej, cichej świętości na co dzień, piszą osoby, które uzyskały za jej wstawiennictwem łaski.

W 120. rocznicę śmierci, w 2009 roku odbyła się w jej rodzinnym Grajowie a dokładnie w Kościele Parafialnym w Raciborsku piękna uroczystość. Mszę Świętą celebrował ks. biskup Albin Małysiak. Nawoływał, dając za przykład rodzinę Służebnicy Bożej i przykład jej samej, do patriotyzmu i głębokiej wiary, o które nawet w obecnych czasach należy czynić starania i mieć na uwadze. Na pamiątkę obchodzonego jubileuszu w kościele raciborskim ksiądz biskup wraz ks. proboszczem Kazimierzem Kubikiem odsłanili tablicę pamiątkową, poświęconą s. Emilii. Historia Grajowa sięga 1330 roku, miejscowość ta wielokrotnie zmieniała nazwę i właścicieli. Należała do wielu znamienitych rodów, w tym Lubomirskich i Podoskich, po których do wybuchu drugiej wojny światowej Grajów należał do pięciu kolejnych rodzin. Potem dwór i okoliczny teren kupiła rodzina, w której nieruchomością tą zarządza drugie już pokolenie. Bardzo dbają o dwór. Jak podaje legenda, został on zbudowany na podmurówce z rozbiórki zamku, wybudowanego w Grajowie za czasów króla Kazimierza Wielkiego. Do tej chwili miejsce to nazywane jest „Na zamku”. Jak mówi legenda, król Kazimierz Jagiellończyk trzymał w zamku w Dobczycach za karę czternastoletniego syna Kazimierza, gdyż ten nie chciał walczyć na wojnie z Węgrami. Jeździł go odwiedzać po polowaniach w Niepołomicach i po drodze odpoczywał w Grajowie, gdzie był jeszcze, jak podają źródła, młyn, browar, trzy karczmy i folwark. Dwór kiedyś zamieszkiwany przez Podoskich: jest w dobrych rękach, zabytkowe mury są zabezpieczone i tylko one pamiętają ten ród. W dworze nie zostały żadne pamiątki, wszystkie zabrała rodzina, przeprowadzając się do Ptaszkowej. Ale w Grajowie zostało najważniejsze: miejsce, gdzie urodziła się i dorastała obecnie kandydatka do grona Błogosławionych, Służebnica Boża S. Emilia Podoska. Po Mszy Św. w intencji jej beatyfikacji siostry zakonne z Klasztoru Norbertanek z Krakowa odwiedziły grajowski dworek. To było wielkie przeżycie, również dla obecnych gospodarzy obiektu.

1 września 2015 roku Sługa Boża S. *Emilia Podoska* otoczyła opieką i została patronką Szkoły Podstawowej w Grajowie, gdzie w tym roku obchodzono 130. rok od jej narodzin dla nieba. Grób z przeniesionymi z cmentarza relikwiami znajduje się od 22 czerwca 1994r pod chórem w Kościele Sióstr Norbertanek przy ul. Kościuszki 88 w Krakowie. W czasie Mszy Świętej, można tam wejść, pomodlić się przez jej wstawiennictwo a w pozostałych godzinach można prosić o otwarcie na furcie. Wiemy, że możemy prosić o pomoc naszej krajanki w każdym miejscu i czasie. Na pewno Siostra Emilia ucieszy się z pamięci o niej i będzie przyczyniać się u Pana Jezusa.

22 września 1994r. zakończono diecezjalny etap procesu kanonizacyjnego s. Emilii Podoskiej w Krakowie. Na stronie zakonu norbertanki.w.krakow.pl czytamy, że w 1994r. przekazano całą dokumentację procesu Krakowskiego do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych do Watykanu a od 12 maja 1995r. Siostrze Emilii przysługuje tytuł Sługi Bożej (Affirmative Servae Dei Aemiliae Podoska, Congregatio de Cansis Sanctorum, Rzym – Vatican). Trwa też w Zakonie coroczna modlitwa o beatyfikację Sł. Bożej s. Emilii, poprzez nowennę Mszy Świętych od 14-22 maja.

Barbara Zapadlińska

Na podstawie:

„Światło w mrokach. Pamiątka 100. rocznicy śmierci s. Emilii Podoskiej Norbertanki (1889-1989)”.

Wyboru pism (notatnika-modlitewnika) Służebnica Boża Emilia Podoska „Oblubienica Ukrzyżowanego Zbawiciela”



WALERIAN CZUMA Z NIEPOŁOMIC

Walerian Czuma (1890 – 1962), ur. w Niepołomicach, zm. we Wrexham w Walii. Generał brygady Wojska Polskiego, legionista, dowódca Dywizji Syberyjskiej, komendant Straży Granicznej, dowódca obrony Warszawy we wrześniu 1939r.

Później był studencki Wiedeń, była Moskwa pełna rewolucyjnego zamętu i wojny domowej, Omsk na Syberii, Wilno rozbrzmiewające polską mową, była wreszcie Warszawa w huku bomb i dymie pożarów pierwszych dni wrześniowych 1939 roku. I dziesiątki innych miast, miasteczek i wsi w kraju i na obczyźnie. Ale u samych początków tej ze wszech miar interesującej biografii stały Niepołomice. Uroczą małą miejscowość na skraju puszczy szumiącej historią Piastowsko-Jagiellońską, dostojną i rycerską i gdzie zamek królewski oraz kościół farny przez wieki wyznaczały rytm powszednich obowiązków i wysoką temperaturę niecodziennych zdarzeń. To tutaj właśnie, lecz już pod zaborem austriackim, w rodzinie Jana Czumy i jego żony Emilii z domu Ptak, urodziło się 24 grudnia 1890 roku dziecko rodzaju męskiego, któremu dwa dni później, podczas obrządku chrztu św., ks. Antoni Pluciński nadał imiona Walerian Adam. Nikt z obecnych, ani rodzice chrzestni, którymi byli Marianna Góra i Jakub Mleko, ani liczni pozostali świadkowie ceremonii, nie łamali sobie głowy odgadywaniem przyszłych losów małego Waleriana. Wiadomo, zajęcie tyleż ciekawe co jałowe. Chłopiec chował się zdrowo.

Do szkoły podstawowej uczęszczał w Kętach, a do gimnazjum klasycznego w Wadowicach, które ukończył w roku 1911, po czym podjął studia na wydziale rolnym wiedeńskiej Hochschule für Bodenkultur. Już w czasie studiów należał do Związku Strzeleckiego. W latach 1914 – 1918 służył w Legionach Polskich biorąc udział we wszystkich walkach II Brygady. W bitwie pod Polską Górą 4 lipca 1916 roku został ciężko ranny. Kiedy brygada 22 lutego 1918 przedarła się na drugą stronę frontu pod Rarańczą, generał Józef Haller wyznaczył Czumę do organizowania polskich oddziałów w Rosji. Oddziały te miały być kierowane na północ do Murmańska, a stamtąd na front zachodni przeciwko Niemcom. Jednak coraz większe kręgi zataczając, rewolucja bolszewicka stanęła temu na przeszkodzie. Terenem koncentracji i organizowania Wojska Polskiego stała się teraz zachodnia Syberia. Jej wielkorządcą został ogłoszony admirał Aleksander Kołczak i teraz pułkownik Czuma z nim załatwiał wszelkie sprawy polskie. 5 Dywizja Piechoty szybko rozrastała się liczebnie osiągając stan dwunastu ty-

sięcy żołnierzy. Sytuacja jednak zaczęła się komplikować. Mimo że Kołczak posiadał około pięćdziesiąt tysięcy wojska i około czterdzieści tysięcy wojska czechosłowackiego, które z nim bezpośrednio współpracowało, a w miastach i miasteczkach syberyjskich były dość silne garnizony kołczakowskie, bolszewicy opanowywali coraz większe tereny. Otoczyli Omsk, stolicę admirala, zdecydowanie zagrażając białym. W kręgach kołczakowskich zdecydowano o ewakuacji.

Zaczęto pośpiesznie szykować eszelony, które magistralą transsyberyjską miały dowieźć wojsko do Władywostoku. Pierwsze eszelony zajmowali kołczakowcy, drugie wojsko czechosłowackie, a Polska Dywizja Syberyjska jechała w ariergardzie stanowiąc tarczę obronną przed atakami czerwonych.

Składy tych wszystkich pociągów zawierały oprócz stu tysięcy wojska, amunicję, broń, zapasy żywności a także cały dobytek osobisty i wielu członków rodzin żołnierzy szczególnie tych z kręgu dowództwa rosyjskiego i czechosłowackiego. Ale czas działał na niekorzyść oddalających się na wschód eszelonów. Nadeszła zima i trudności z uzyskiwaniem opału powiększały się z każdym dniem. Skończyły się zapasy żywności, głód zaczął zaglądać w oczy. Osłaniając całość Polacy wciąż walczyli z bolszewikami. W końcu nastąpiła katastrofa. Zniszczone lokomotywy odmówiły posłuszeństwa, a w szeregach rosyjskich zagnieździła się zdrada. W wyniku spisku uwięziono Kołczaka, którego wydano bolszewikom.

Pułkownik Czuma nie widząc innego wyjścia z tej sytuacji zdecydował o akcie kapitulacyjnym. On sam przebywał w niewoli i dopiero na mocy układów polsko -bolszewickich kończących wojnę dla Polski zwycięską, w drodze wymiany przybył do kraju. Tutaj zajmował różne stanowiska wojskowe. Jego nazwisko zostało utrwalone na kartach historii jako tego, który był dowódcą obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku. Stolica była bombardowana przez Niemców już 1 września. Dwa dni później otrzymał Czuma, wezwany do Ministerstwa Wojny, nominację na stanowisko dowódcze. Odtąd dniem i nocą nieustannie stał Czuma na swoim posterunku. Stał? Generał był po prostu wszędzie i o każdej porze, znał na pamięć stanowiska, ulice, przedmieścia, ilość żołnierzy, broni i amunicji, zapory i barykady broniące dostępu do śródmieścia. Dysponował bowiem tym rodzajem wyobraźni, w której z dużą ostrością rysowała mu się przed oczami zarówno całość jakiegoś problemu czy sytuacji, jak i jej poszczególne części składowe. Dla skutecznej obrony miasta przyjął wariant puklerza, stanowiły go forty i luźno stojące zabudowania na przedmieściach.

Jednak ogromna przewaga w uzbrojeniu wojsk niemieckich, a z drugiej strony ograniczone do minimum możliwości obrony miasta przy zaciskającym się coraz bardziej pierścieniu wojsk pancernych przeciwnika i nieustannym, niemalże bezkarnym bombardowaniu elektrowni, zbiorników wodnych, ulic, i bez nadziei na pomoc ze strony sojuszników – możliwości obrony Warszawy wyczerpały się 27 września. Czuma wraz z innymi oficerami, których było około trzech tysięcy, dostał się do niewoli, a dziewięćdziesiąt tysięcy podoficerów i szeregowych, po załatwieniu personalnych formalności zostało zwolnionych do domu.

Generał przerzucany z obozu do obozu jenieckiego, w roku 1945 został zwolniony i wyjechał do Anglii, gdzie zmarł 7 kwietnia 1962 w miejscowości Wrexham.

Władysław Żołubak



LUDWIK SOLSKI

MATEJKO POLSKIEGO TEATRU

Ludwik Solski – właściwie Ludwik Napoleon Karol Sosnowski (1855 – 1954), ur. w Gdowie, zm. w Krakowie. Aktor, reżyser, dyrektor Teatru Miejskiego (od 1909 im. J. Słowackiego) w Krakowie i teatrów warszawskich. Jeden z największych artystów sceny polskiej.

Ludwik Solski (właściwie Ludwik Napoleon Karol Sosnowski) urodził się 20 stycznia 1855 roku w Gdowie, małej miejscowości położonej nad Rabą. W domu, który już od dawna nie istnieje, bo tę skromną drewnianą budowlę, zwaną szumną „dworciem”, pochłonął czas. Teraz ma tam Solski ulicę swojego imienia, poświęcili mu też Gdowianie specjalną tablicę płaskorzeźbioną umieszczoną na fasadzie Urzędu Gminnego, znak pamięci, dumy i uznania dla słynnego ziomka.

Ludwik przyszedł na świat jako czwarte dziecko, a pierwszy syn Franciszka Sosnowskiego, mandatariusza sądowego, powstańca 1830 roku, i Stanisławy z Lubicz – Woyciechowskich, domorosłej poetki. Jednak wtedy, w owe mroźne styczniowe dni 1855 roku, nikomu ani na ułamek sekundy nie powstała w głowie myśl, że to wątłe niemowlę o słabym i nieco dziwnym głosiku, umrze stuletnim bez mała starcem. A pracować będzie przez osiemdziesiąt lat z okładem, prawie do ostatniego tchnienia.

Początkowo chłopiec wzrastał w atmosferze obaw i troski rodziców o jego kruche zdrowie. I on sam, gdy podrośł lękał się o nie, tym bardziej, że jedna z siostr zmarła na suchoty. Matka też osierociła go przedwcześnie. Na barki więc ojca spadła cała odpowiedzialność za dziatwę, zwłaszcza za najmłodszego Ludwika. Ten zaś, wzrostu mniej niż średniego, przeraźliwie chudy, z zapadniętą klatką piersiową, o nie wyróżniającą się niczym urodzie, małych oczach, wydłużonej nadmiernie górnej wardze i skrzekliwym głosem, wykołuszał w sobie niczym nie ujarzmione marzenie, podobne marzeniu szaleńca, który przypiąwszy sobie do ramion drewniane skrzydła zapragnął wyruszyć na podbój kosmosu.

Prawdziwy teatr, prawdziwa scena, i on, Ludwik we własnej osobie na tej scenie. Ojciec był jednak przeciwny tym planom: nic tylko ciągła poniewierka z jakąś wędrowną trupą, marny chleb, żadne perspektywy. Przecież urok teatru opłacał chłopca do tego stopnia, że wszystko inne, naukę gimnazjalną, praktyki w różnych zawodach, a to subiekta w domu handlowym, a to pracownika biurowego w sądownictwie czy pomocnika ślusarza, które to zajęcia polecał mu i wręcz załatwiał sam ojciec, słowem cokolwiek tylko miało mu zapewnić w przyszłości znośną egzystencję lecz nic poza tym, po krótkim czasie odrzucał jak żelazny

gorset, co go miażdżył, jak zbędny balast, co go przygniatał do ziemi, podczas gdy on miał jedno przemożne pragnienie: wzbić się wysoko w górę i po wieczne czasy szybować w rejonach umiłowanej przez siebie każdym nerwem sztuki teatralnej.

W końcu postawił na swoim. Od jesieni 1875 roku statystował w Teatrze Krakowskim przy placu Szczepańskim, a 15 stycznia 1876 roku zadebiutował tam epizodyczną rolą Alberta w dramacie „Syn diabła” Paula Févala. By wiadomość o buntowniczym postępku syna nie dotarła przypadkiem do ojcowych uszu, Ludwik przezornie ukrył się pod pseudonimem artystycznym: Mancewicz, który zamieszczono na afiszu. Później przybrał jeszcze drugie nazwisko zmyślane, Nałęcz, a przy trzecim, Solski, które wziął od swej pierwszej żony Michaliny, pozostał już na zawsze, stosując je na co dzień wymiennie z rodowym.

Zdołał też wyjednać u ojca upragnione błogosławieństwo na dalszą drogę samodzielnego życia. Uciekł się przy tym do podstępu. A fortel wyglądał tak: Było już późne popołudnie. Zapadający zmierzch zacierał w urzędowej izbie kontury sprzętów, nawet najjaśniejszy cesarz z bokobrodami patrzący mętным wzrokiem z ram na ścianie, roztapiał się w przedwieczornej szarości. Ponieważ zapowiedziany listownie syn nie zjawiał się o oznaczonej porze, pan mandatariusz postanowił tymczasem przyjąć oczekującą w sieni petentkę z pobliskiej wioski. Że kobietę – nic szczególnego. Zajęci w polu mężczyźni, gdy szło o załatwianie spraw urzędowych, nieraz wysługiwali się swoimi żonami. Ta akurat przyszła po poradę względem tego, że syn pana we dworze upodobał sobie jej córkę, co tam służy. Kobięcina była bardzo zafrasowana i jakby nerwowa, ale nie dziw przecie, bo to i sprawa drażliwa, i o wstyd cokolwiek potrącająca. Płaczliwym nieco głosem wyłuszczała swoje żale to kiwając się w krzesło, to znowu niespokojnie poprawiając chuścinę na głowie, albo schylając się do kobiałki z jajami, którą wchodząc postawiła koło nogi od stołu, przy którym urzędował pan mandatariusz. A każdy przecie wie, że za poradę doktorską się płaci, no to za taką sądową też się coś należy. Rzecz cała sama w sobie trochę dziwna, dla Sosnowskiego dziwną wcale nie była. Doradzał i pomagał ludziom miejscowym i okolicznym w różnych kwestiach, nie tylko w zatargach między wsią a dworem o ziemię, o łąki, o wypas, o drzewo z lasu. Stąd właśnie cieszył się ogólną sympatią i szacunkiem. Lecz wizyta tej włościanki przybrała nagle nieoczekiwany obrót. Zakończył ją bowiem gromki wybuch śmiechu dwóch mężczyzn: ojca i syna udanie grającego rolę petentki.

Później w swoim repertuarze też miał role kobiece, i grał je, mimo anonsów, nierozpoznawalny. Być może jego nietypowa fizjonomia oraz głos, z którego uczynił cudowny instrument, i absolutna władza nad jednym i drugim, zrobiły zeń artystę do tego stopnia wszechstronnego, że niezależnie od swojego wieku

mógł z wielkim powodzeniem grać role ludzi młodych i starych, bogatych i nędzarzy pokrzywdzonych przez los, dobrych i złych, wreszcie postacie historyczne. Wcielał cesarzy, królów, hetmanów.

Chętnie odtwarzał, i tyle razy na ile tylko zezwalały mu okoliczności, postać Kościuszki. Była to bowiem jego ulubiona rola, mimo że sztuki nie grzeszyły najwyższymi lotami, szczególnie ostatnia: „Kościuszek w Berwille” napisana przez Janusza Teodora Dybowskiego już po II wojnie światowej. Pięćdziesiąt lat wcześniej, czyli pod koniec XIX wieku, grał Naczelnika w obrazie historycznym „Kościuszek pod Racławicami” Władysława Ludwika Anczyca, a po raz pierwszy w Adama Bełcikowskiego „Przekupce warszawskiej”.

Być może pół żartem, pół serio, ale może jednak bardziej serio żywił Solski do swojego przodka hetmana Józefa Sosnowskiego osobistą urazę. Ten jego dziad stryjeczny bowiem tak wysoko zadzierał swego magnackiego nosa, że nie dostrzegał wielkiej miłości, jaka łączyła jego córkę z młodym oficerem szlacheckiego jedynie pochodzenia. Brutalnie rozerwał ów silny węzeł uczuciowy. Kościuszek wskazał drzwi, a piękną Ludwikę, też niepokieszoną jak jej Tadeusz, wydał za Lubomirskiego, bo rzecz szła nie o szczęście hetmańskiego dziecka tylko o pozycję materialną zięcia. Gdyby nie to, wielki artysta być może nosiłby nazwisko swego idola.

Treść sztuki Dybowskiego obrazowała szwajcarski a więc ostatni okres życia Naczelnika, kiedy to odwiedziła go wraz ze swym dorosłym synem właśnie Ludwika z Sosnowskich Lubomirska. Przygotował rolę Kościuszki w tej sztuce również na jubileusz 75-lecia swej pracy, jaki odbył się niezwykle uroczysto w Krakowie, w Teatrze im. Juliusza Słowackiego. 95-letni artysta wcielał 70-letniego Kościuszkę, partnerowała mu, grając Ludwikę, Zofia Jaroszeńska.

Byli tacy co określali go mianem aktora prowincjonalnego. W tym znaczeniu, w jakim zwykło się mówić z nieco pogardliwym lekceważeniem o tych artystach, którym granice ich osiągnięć i sukcesów wyznaczają rogatki małych miasteczek, i których mierny talent stanowi trudną do usunięcia przeszkodę na drodze, wyjątkowo stromej i niezwykle wąskiej, ku niebotycznym szczytom sztuki najwyższej próby. Nie żył na te słowa, wszelki protest w tej sprawie uważał za zbędny. Bo występy na prowincji nie były dlań ujmą, wręcz przeciwnie, poczytywał je sobie za pewnego rodzaju misję i zaszczyt, że ta misja również jemu przypadła w udziale. Z dumą więc wyliczał dziesiątki owych miejscowości, gdzie dni jego występów gościnnych stanowiły dla ich mieszkańców prawdziwie wielkie święto sztuki i piękna języka ojczystego. Wieliczka, Tarnów, Przemyśl, Stanisławów, Bielsko, Cieszyń, Kalisz, Częstochowa, Krynica, Borysław, Krzemieniec, Równe, Tczew, całe mnóstwo innych, łącznie grubo ponad sto, często takich, które niełatwo odszukać nawet na dosyć szczegółowej mapie.

Posiadał Solski nie tylko wybitny talent aktorski. Tkwiły w nim również zdolności wokalne i taneczne. W początkach swej kariery, jeszcze w Poznaniu, śpiewał i tańczył w farsach, wodewilach i operetkach, a w „Halce” Stanisława Moniuszki za partię Jontka zbierał tak rześiste brawa, że na gruncie Wielkopolski stał się artystą popularnym. A mimo to zaskoczyła go niepomrotnie poważna i kusząca finansowo propozycja angażu do opery berlińskiej. Odmówił zdecydowanie. Niemal natychmiast po tym otrzymał następną propozycję, ze Lwowa, z tamtejszej opery. Też odmówił.

Na stronie 94 swoich „Wspomnień” spisanych przez Alfreda Woycickiego (Kraków 1961, wyd. II) Solski wyjawiał przyczynę rezygnacji z kariery śpiewaka operowego: „Urodziłem się aktorem dramatycznym i tylko ta praca dawała mi szczęście. Wyżywałem się i pragnąłem przez najdłuższe lata wyżywać się w tworzeniu postaci ludzkich. Mimo wielkiego uwielbienia dla muzyki i zamiłowań wokalnych, mimo pokus sukcesów zagranicznych, mimo widoków na znaczną fortunę, wołałem pozostać w dramacie”. No cóż, świat stracił być może wybitnego tenora, lecz Polska zyskała artystę dramatycznego najwyższej miary.

Jako dyrektor teatru, od dyrektora bardzo wiele wówczas zależało, w przypadku zaś Solskiego prawie wszystko, tak więc jako szef usilnie popierał rodzimą twórczość dramatyczną, co zresztą czynił w granicach rozsądnych, czyli tak, by nie zatracić kontaktu z dramaturgią światową, zarówno współczesną jak i klasyczną. Młodych autorów, u których dostrzegał talent, otaczał opieką, zachęcał do pisania, poprawiał przedkładane mu teksty. I wystawiał. Debiutowali u niego: Ludwik Hieronim Morstin i Karol Hubert Rostworowski, później uważany za następcę Wyspiańskiego, czego, mówiąc nawiasem, historia nie potwierdziła. Kiedy osobiście zagrał rolę tytułową w „Kuszeniu Judasza” Rostworowskiego rozślawił imię autora i równocześnie sam zdobył kolejny wielki poklask i uznanie krytyki i publiczności. Recenzenci zgodni byli co do tego, że w rankingu najcenniejszych kreacji w Polsce, wcielenie tej postaci wyniosło Solskiego bezapelacyjnie na czołowe miejsce.

W ogóle stworzył cały szereg znakomitych ról, zwłaszcza słynną galerię władców, rodzimych i obcych, co przeszło do historii teatru polskiego i do legendy. Był swego rodzaju rekordzistą, zagrał bowiem w swoim życiu ponad tysiąc ról, występował w kilkudziesięciu miastach Polski, między innymi w Wieliczce. Pod koniec życia, z okazji kiedy dochodził stu lat, a pracy na scenie miał lat osiemdziesiąt został obsypany najwyższymi odznaczeniami państwowymi. Nieco wcześniej w Krakowie Uniwersytet Jagielloński przyznał mu doktorat honorowy, a władze miejskie wręczyły berło włodarza na polu kultury jak ongiś Janowi Matejce.

Władysław Żołubak

ANTONI MIKOŁAJ PAJDAK **ŻOŁNIERZ, DZIAŁACZ PAŃSTWOWY, ZESŁANIEC**



Antoni Mikołaj Pajdak (1894 – 1988), ur. w Biskupicach, zm. w Warszawie, prawnik działacz państwowy, członek najwyższych władz Polski Podziemnej w czasie okupacji hitlerowskiej, więzień sowiecki, zesłaniec.

Pod dachem Pajdaków nigdy się nie przelewało. Jak w każdym galicyjskim gospodarstwie na przełomie XIX i XX wieku, tak i tu, niedaleko Wieliczki, na tym lichym spłachetku biskupickiej ziemi, brakowało prawie na wszystko. Żeby kupić naftę do lampy, powróż czy cebrzyk, albo garść soli, Pajdakowie nieraz zadłużali się u lichwiarzy. W tamtych czasach nic wyjątkowego. Lecz coraz krótsze terminy spłat nie pozwalały na głębszy oddech. I dzieci przybywało. Poza tym dwaj najstarsi chłopcy aż palili się do wiedzy i nauki, co nie pozostało bez wpływu na ostateczną decyzję ojca rodziny.

W tej trudnej sytuacji Józef, rolnik z urodzenia i zamiłowania, zaczął się rozglądać za jakąś dodatkową pracą. Jednak dość dobrze prosperująca kopalnia soli w pobliskiej Wieliczce nie była w stanie wchłonąć całej biedoty z okolicznych wiosek. Zostawiwszy więc rodzinę i gospodarstwo na głowie żony wyjechał do Morawskiej Ostrawy, do tamtejszej kopalni. Przez długi czas pojawiał się w domu tylko dwa razy do roku, w okresach robót polowych. Przypadało mu, że był bardzo zapobiegliwy. I kochał ziemię, co później syn Antoni, bohater niniejszego szkicu, podnosił wielokrotnie, jako jeden z budujących rysów ojcowego charakteru. Kochał ziemię i wysoko cenił naukę. Za zarobione w Ostrawie pieniądze dokupił około trzy hektary ornego gruntu, a najstarszym synom Julianowi i drugiemu z kolei, właśnie Antoniemu, kształcącym się w gimnazjum w Krakowie, posyłał regularnie co miesiąc przez wszystkie lata ich nauki 20 koron na stancję i wyżywienie.

Pod wpływem ojca Antoni związał się z ruchem socjalistycznym, a entuzjazm patriotyczny skierował go do szeregów Legionowych. Z 5-tym pułkiem I Brygady przeszedł cały jej szlak bojowy, by na koniec, po odmowie złożenia przysięgi na wierność Austrii, trafić do obozu w Beniaminowie. Wcielony do wojska austriackiego został karnie wysłany na front wschodni przeciwko Rosji, a stamtąd po pewnym czasie do Włoch, do Tyrolu. W styczniu 1919 roku wrócił do kraju. Natomiast w odrodzonej Polsce, w trakcie najazdu armii bolszewickiej na nasz kraj, zgłosił się do Wojska Polskiego, ale już nie dane mu było brać udziału w zmaganiach frontowych.

Po ukończeniu Gimnazjum im. Nowodworskiego w Krakowie i Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie zdobył tytuł doktora praw, zrezygnował z proponowanej mu dalszej kariery naukowej na tej uczelni. Wrażliwy na krzywdę ludzką, nie chciał się przykuć do katedry i biurka, odgrodzić się od życia szacownymi murami Wszechnicy Jagiellońskiej, pragnął bezpośrednio uczestniczyć w naprawianiu świata. Rozpoczął więc pracę we władzach administracyjnych kolejno Radomska, jako referent, w Koninie jako wicestarosta w Słupcy. W latach 1928 – 1931 pełnił, wybrany głosami PPS, której był bardzo czynnym działaczem, i Bundu, stanowisko burmistrza Radomska. Po powrocie do podwawelskiego grodu, otworzył kancelarię adwokacką. W roku 1939 został wybrany wiceprezydentem Krakowa. Niestety, agresja Niemiec na Polskę i w związku z tym wybuch wojny, przekreśliły możliwość objęcia przez Pajdaka tego stanowiska. Ręk jednak nie opuścił, wstąpił do Policji Państwowej, a kiedy nastąpiła okupacja natychmiast rzucił się w wir pracy konspiracyjnej.

Jako jeden z organizatorów Gwardii Ludowej Polskiej Partii Socjalistycznej – Wolność, Równość, Braterstwo (PPS – WRN) i pierwszy jej komendant okręgowy w Krakowie, utworzył przy pomocy między innymi Józefa Jedynaka, Władysława Dębowskiego wielicki oddział PPS – WRN. Równocześnie działał w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ), a potem Armii Krajowej (AK), we wszystkim podlegając od samego początku i nieprzerwanie Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie.

Pełen inwencji, energiczny, i co niezmiennie istotne, skuteczny, cieszył się w podziemnych strukturach oporu przeciwko okupantowi niemieckiemu zasłużonym dla swej pracy uznaniem. Stąd awans i wyjazd do Warszawy. Powierzono mu tam dwie ważne funkcje: zastępcy, jednego z trzech, Delegata Rządu na Kraj, którym został Stanisław Jankowski, a także członkiem Krajowej Rady Ministrów, gdzie pełnił funkcję kierownika dwóch departamentów jednocześnie: pracy i opieki społecznej, oraz komunikacji.

Okres powstania warszawskiego 1944 to czas organizowania przez Pajdaka administracji cywilnej w stolicy i szeroko pojętej pomocy dla ludności egzystującej z dnia na dzień w ekstremalnych warunkach wojennych, pośród walk ulicznych, wybuchających bomb, płonących domów i murów obracających się w gruz, pośród braku wody, żywności i lekarstw.

Po upadku powstania i kapitulacji Pajdak w dalszym ciągu prowadził działalność konspiracyjną; podobnie zresztą jak pozostali ministrowie polskiego Państwa Podziemnego. W marcu 1945 roku, kiedy już spora część terytorium Polski znalazła się pod władzą Związku Radzieckiego, szesnastu członków Delegatury

zostało podstępnie aresztowanych w Pruszkowie pod Warszawą i przewiezionych do Moskwy. Osadzonym tam w osławionym więzieniu na Łubiance, wytoczono proces typu bolszewickiego, czyli taki, gdzie w przewodzie sądowym ważyły rozkazy polityczne z Kremla, a nie fakty. Oskarżeni o zbrodnicze czyny kierowania działalnością wywrotową i dywersyjną na tyłach Armii Czerwonej i sianie wrogiej propagandy przeciwko Związkowi Radzieckiemu. Dowódcę Armii Krajowej gen. Okulickiego spotkał zarzut uprawiania pracy wywiadowczo – szpiegowskiej, której celem miało być osłabienie bojowe wojsk rosyjskich. Wszyscy otrzymali kary więzienia. Natomiast gen. Okulicki, Jankowski i Jasiukiewicz zostali zamordowani w niewyjaśnionych dotąd okolicznościach. Antoniego Pajdaka skazano na pięć lat więzienia. Stalinowska wykładnia socjalizmu była inna aniżeli Pajdaka, a ponieważ ten ostatni tkwił w uporze przywiązany do ideologii i miłości Ojczyzny takiej, jak sam ją pojmował, po pięciu latach więzienia otrzymał, w trybie administracyjnym, to znaczy bez zbędnych ceregieli sądowych typu radzieckiego, skierowanie na dożywotnią katorgę w syberyjskiej tajdze. Okrucieństwo stalinowskie wobec tego patrioty i socjalisty było szczególnie wyrafinowane. Przy pomocy polskiego Urzędu Bezpieczeństwa Moskwa sięgnęła po rodzinę Pajdaka. W kraju bowiem, w Krakowie, gdzie mieszkali razem, żona Janina i córka Wiesława, jedyne ich dziecko, aresztowano obie w roku 1947. Osaczona przez dramatyczne okoliczności, Janina uznała swoją sytuację jako pułapkę bez wyjścia i w wyniku załamania psychicznego sama przerwała pasmo tej udręki. Zginęła śmiercią samobójczą. Córkę wypuszczono na wolność dopiero po czterech latach.

Upór, determinacja i silny organizm pozwoliły Antoniemu Pajdakowi przetrwać więzienie i katorgę w Krasnojarskim Kraju, gdzie od świtu do nocy jak rok długi pracował przy wyrębie lasów. W sierpniu 1955 wrócił do Polski i zamieszkał w Warszawie. Na nowo podjął swoje przedwojenne zajęcia jako radca prawny i adwokat.

Mimo dramatycznych przejść i zbliżającej się starości miał w sobie jeszcze tyle energii, że niemal do końca długiego życia współpracował z opozycją, w zbożnym celu uczynienia z Polski państwa autentycznie niepodległego. Dr Antoni Pajdak zmarł 20 marca 1988r. i został pochowany na cmentarzu Powązkowskim. Nie doczekał wolności, o którą tak ofiarnie walczył, a która była tuż za progiem.

Władysław Żołubak



**BŁOGOSŁAWIONY O. NARCYZ JAN
TURCHAN OFM
PATRON PUBLICZNEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ
W TRĄBKACH**

Jan Turchan (1879 -1942 KL Dachau numer obozowy 28411), urodzony w Biskupicach, przyjmując habit zakonny przyjął także imię Narcyz. Jego droga duchowa i posługa wielokrotnie prowadziła go do Wieliczki. W czasie II wojny światowej pozostał na posterunku posługi duchowej, odmówił wyjazdu - nie podpisał „Volkslisty”, zobowiązania „iż nie będzie pełnił funkcji kapłańskich”. Uwięziony w niemieckim obozie koncentracyjnym KL Dachau zmarł w wyniku maltretowania i chorób.

Urodził się 19 września 1879r. w wielodzietnej rodzinie rolników Jana i Katarzyny z domu Ochońskiej w Biskupicach w parafii Rzymskokatolickiej p.w. Św. Marcina w Biskupicach.

8 września 1899r. Jan Turchan wstąpił do Zakonu Braci Mniejszych w prowincji Matki Bożej Bolesnej Reformatów w Galicji. Nowicjat odbył w Wieliczce i w Leżajsku. Pierwsze śluby zakonne złożył 13 września 1900r. a przyjmując habit zakonny przybrał imię Narcyz. Odtąd sam o sobie mówił: „Z pochodzenia jestem małopolaninem, z powołania franciszkaninem”.

Posługę kapłańską pełnił w kościołach klasztornych we Lwowie, Rawie Ruskiej i w Wieliczce (1908-1912) jako kaznodzieja i spowiednik, a ponadto jako wikariusz parafii św. Klemensa i katecheta.

Pomimo kilkakrotnego aresztowania przez Gestapo, ropięjącej rany po operacji na wyrostek - nie opuścił Włocławka. Pozostał na posterunku posługi duchowej, odmówił wyjazdu - nie podpisał „Volkslisty”, zobowiązania „iż nie będzie pełnił funkcji kapłańskich”. Postawa o. Jana Turchana nie była zgodna z wzorcowym przygotowaniem zagarniętych ziem polskich „dla całych zwycięskich Niemiec, które miały być krajem bez Boga, bez kapłanów (...) bez religii”.

30 października 1941r. o. Narcyz Jan Turchan został przewieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego KL Dachau. Według relacji współwięzionych Ojciec Narcyz bardzo cierpiał był torturowany przez esesmanów. W chorobie i udręczeniu zachował spokój, pogodę ducha, a nawet uśmiech. Zachowała się kartka, adresowana do rodziny, w której wyraża żal, że lud wierny pozbawiony został swoich duszpasterzy.

W jego posłudze jako przełożonego, kaznodziei, spowiednika, katechety zawsze odbijała się wielka gorliwość zakonna. W czasie prześladowania, dotkliwych cierpień modlił się, aby mógł przyjąć krzyż jako naśladowanie Chrystusa,

by „krzyż przekształcił go w Chrystusa”. Zmarł w wyniku maltretowania i chorób 19 marca 1942r., w dniu św. Józefa, którego był wielkim czcicielem.

Rodzina otrzymała prochy zmarłego, które złożono na cmentarzu parafialnym w Biskupicach, tuż przy kościele, ufundowała w kościele tablicę z z napisem: „Śp. Ojciec Narcyz Turchan, jest męczennikiem za Wiarę i Ojczyznę”.

Obóz w KL Dachau

Niemcy traktowali jako wzorcowy. Stał się także centralnym ośrodkiem eksterminacji duchowieństwa z krajów okupowanej Europy, a przede wszystkim duchowieństwa polskiego. W KL Dachau uwięziono 2720 księży, wśród nich najwięcej Polaków - 1773 z czego zmarło 868.

Głód w KL Dachau

Głód, towarzyszący od rana do wieczora, był jedną z największych udręk, jakie więźniowie przeżywali w Dachau. Na śniadanie dawano czarną, niesłodzoną kawę i kawałek chleba, który wydzielano na całą dobę. Na obiad była zupa z kapusty lub brukwi, czasami przez kilkanaście tygodni z rzędu. Na kolację dawano zupę albo ziemniaki w łupinach lub kawałek chleba z margaryną, czasami z marmoladą. W niedzielę zdarzało się, że dawano plasterki kielbasy. Rok 1942 był najtragiczniejszy w historii obozu, nawet te głodowe racje były zmniejszone. Śmiertelność wśród księży tego roku była zatrważająca. Wielu więźniów ważyło ok. 40 kg. (...) Jedzono wszystko, co znalaziono na terenie obozu, a co miało jadalny wygląd. Jedzono najrozmaitsze trawy, kwiaty, żaby, dżdżownice, jeże. Za zjedzenie marchwi lub ziemniaka w trakcie pracy w ogrodzie lub znalezionych na terenie obozu groziła surowa kara.

Kary w KL Dachau

Karano za najdrobniejsze przewinienia, za źle posłane łózko, za siedzenie w trakcie posiłku, za nieprawidłowe lub zbyt powolne zdjęcie nakrycia głowy, karano za istnienie, za bycie księdzem (...). Kara chłosty wymierzana była przez esesmanów na specjalnym „koźle”, do którego przywiązywano więźnia. Najniższą karą było 25 uderzeń, najwyższą tyle, że więzień umierał.

Kardynał Friedrich Wetter, arcybiskup monachijski (podczas Mszy św. w Dachau, 30 kwietnia 1995 r.)

„Pomimo to, że nie widzimy tutaj żadnych grobów, znajdujemy się na największym na świecie cmentarzu księży. Największą ofiarę ponieśli Polacy. Rzeczywistość była gorsza, niż nasze wyobrażenie o tym, co się tutaj wtedy wydarzyło”.

Papież Jan Paweł II
(7.VI.1991 r. we Włocławku)

„Ci wszyscy męczennicy obozów hitlerowskich, wpatrywali się w to przebite na krzyżu Serce – i znajdowali nadludzką moc, ażeby dawać Mu świadectwo życia i śmierci. Serce, które jest źródłem życia i świętości.”

(13 czerwca 1999 r. w Warszawie)

Zaliczył w poczet błogosławionych Ojca Narcyza Turchana, jako jednego ze 108. męczenników II wojny światowej.

„13 czerwca 1999 roku”

(Tekst - Ignacy Kowalewski do muzycznego fotofilmu „Jestem”)

13 czerwca 20 lat temu.

Polak nie zapomni aktu beatyfikacji.

*Stu ośmiu błogosławionych polskich męczenników,
którzy ponieśli śmierć za wiarę w niemieckiej okupacji.*

*Polski papież Jan Paweł II,
w Warszawie na placu Piłsudskiego.
Podczas 7. pielgrzymki do Polski,
ogłosił heroicznych świadków wiary rodu ojczystego.*

*Błogosławiony Ojciec Jan Turchan,
parafii rodzinnej Biskupice,
śladami Św. Franciszka z Asyżu,
do końca nie opuścił wiernych zniewolonej Ojczyzny.*

*Uwięziony w niemieckim obozie Dachau,
torturowany przez esesmanów kapo,
przed rychłą śmiercią w szpitalu obozowym,
oddął swoją porcję chleba dla młodszych kapłanów.*

*Chory na cukrzycę prosił o wodę,
wlewano ją w niego szlauchem w ogromnych ilościach.
Zmarł w samotności w otoczeniu chorych,
wycieńczonych tak jak on, którzy nie przeżyli.*

*Złożył Bogu ofiarę ze swego życia.
Jego Droga Krzyżowa zakończyła się,
19 marca 42 roku,
w uroczystość św. Józefa patrona dobrej śmierci.*

*Zamordowani w Dachau – Jesteśmy !
Błogosławieni męczennicy – Jesteśmy !
Błogosławiony ojciec Turchan - Jestem !
Odpowiedzialni za losy Kościoła – Jesteśmy !
Odpowiedzialni za Polskę – Jesteśmy !*

Opracowano na podstawie:

1. „Męczennicy 1939-1945”
zeszyt 67 WDR Włocławek 2001
o. Bogdan Brzuszek OFM.
2. www.swietyjosef.kalisz.pl/?dzial=Dachau&id=51
3. www.swzygmunt.knc.NARCYZjanTURCHANmartyr01.htm
4. A.Jagodzińska, IPN Biuletyn IPN nr 4/2009.
5. Kronika PSP w Trąbkach.
6. Archiwum własne.

***Ignacy Kowalewski
amatorskie fotostudio „asmufotiko”
Wieliczka 21 marca 2019 r.***

ARTUR GROTTER ŚLEDZIEJOWICKI ŚLAD



Artur Grotter (1837–1867), ur. w Ottyniowicach w Galicji wschodniej, zm. w Amelie les Bains w Pirenejach francuskich. Rysownik i malarz. Stworzył m. in. cykl obrazów o wydźwięku patriotycznym, poświęcone Powstaniu Styczniowemu 1863. Dwukrotnie przebywał w Śledziejowicach, również był w Wieliczce, gdzie odwiedził c. k. majora Fryderyka Lipowskiego, którego poznał w Wiedniu, a który miał w mieście solnym parterowy murowany dom (dzisiaj na jego miejscu stoi Dom Handlowy „Kinga”).

W lipcu 1865 Artur Grotter opuścił Wiedeń na zawsze. Ten Wiedeń, w którym z przerwami na eskapady do Galicji, Włoch czy Bawarii, spędził dziesięć lat, owocnych artystycznie i burzliwych. W owym heroicznym okresie swego życia zdobył i ugruntował swoją sławę znakomitego rysownika i malarza, wirtuoza ołówka, kredki i pędzla. Jako autor jednostkowych tematycznie obrazów i cykli historycznych, w tym „Warszawy I” i „Warszawy II”, a zwłaszcza dziewięciu kartonów nieśmiertelnej „Polonii” opiewającej walkę i męczeństwo narodu polskiego w dobie Powstania Styczniowego 1863 r. zyskał opinię szermierza idei niepodległości za granicą. Dzieła jego bowiem, za sprawą wysokich nakładów odbitek fotograficznych złożonych w albumy, obiegły niemal całą Europę trafiając do szerokiego kręgu odbiorców. Wszystko to razem spowodowało, że wiedeńskie mieszkanko Grottera stało się jednym z prężniejszych ognisk patriotycznych. On sam uniesiony nagłym pragnieniem służenia krajowi z bronią w rękę, rwał się do czynu zbrojnego.

Jednak los nie wyznaczył mu roli jednostkowej ofiary złożonej na ołtarzu Ojczyzny. Za namową przyjaciół zrezygnował z tego kroku, jak niegdyś Adam Mickiewicz w związku z Powstaniem Listopadowym. Ale i tak wspomagał walczących, wśród których był jego młodszy brat Jarosław. Współorganizował zakup broni i przerzut jej za kordon, do Królestwa. W ów nielegalny proceder zagrożony surowymi karami wciągnął nawet swego mecenasa i przyjaciela Aleksandra Poppenheima, węgierskiego magnata, robiącego karierę wyższego oficera w armii cesarza Franciszka Józefa. Wszakże tym, co najbardziej kłuło w oczy austriackiego zaborcę, było realizowane przez artystę posłannictwo w świecie ducha. Wobec nieprzejednanej postawy swego poddanego władze monarchii habsburskiej, sojuszniczki Rosji, nie mogły pozostać obojętne. Na Grottera spadły represje. Twórczość jego obłożono cenzurą, cofnięto mu dożywotnie stypendium cesarskie, wytoczono proces karny o teksty patriotyczne zamieszczone w piśmie wiedeńskim „Postęp”, gdzie był redaktorem. Na koniec poddano inwigilacji.

Coraz bardziej krępowany politycznie, bez grosza przy duszy, zadłużony i dotknięty gruźlicą płuc, której się nabawił jeszcze w czasach studenckich, kiedy to uczęszczał do Allgemeine Malerschule – już nie widział tu, nad Dunajem miejsca dla siebie. Opuścił Wiedeń bez żalu.

Odtąd myśli jego zaczęły krążyć wokół Paryża. Bo Paryż to nie była zwyczajna metropolia. To był mit, to było marzenie o szczytach sławy i bogactwa. Zaprzętał mu głowę tym bardziej, że w styczniu 1866 r. poznał na balu karnawałowym we Lwowie młodziutką Wandę Monné, miłość swego życia. Tam więc, na zachodzie Europy upatrywał klucz do osobistego szczęścia; niezależności finansowej, której tak bardzo zawsze pragnął, teraz szczególnie, lecz której miał nigdy nie zaznać. „... moja wycieczka do Paryża tylko pomyślne dla nas skutki mieć może” – pisał do Wandy 25 grudnia 1866 r., nazajutrz po przybyciu do nadsekwańskiej stolicy. I motyw ten, motyw nadziei będzie się unosił na kształt słonecznego ptaka nad całym rocznym prawie pobytem Grottgera we Francji. Aż do posępnego końca tej udręczonej egzystencji. Wbrew oczywistym klęskom, wbrew chorobie czyniącej z miesiąca na miesiąc coraz większe spustoszenie w jego organizmie.

Debiut na Wystawie Światowej przeszedł niezauważony. Umieszczone tam „Lituania” i „Na etapie” nie poruszyły nikogo. Liczył na Czartoryskich, Potockich, Branickich, Zamoyskich. Owych właścicieli pałaców, zamków i potężnych kont bankowych. Tu też srodze się zawiódł. Nie dostrzegł faktu, że misja dziejowa tych historycznych rodów akurat dobiegła końca, wyczerpała się. Dyskontując wcześniejsze zasługi, ludzie z tego kręgu dbali już wyłącznie o swoje majątki, o fraki, złożone tabakierki, odznaczenia, tytuły i pozycję towarzyską. Jedynie w hotelu Lambert, gnieździe emigracji książąt Czartoryskich, spokrewniony z nimi Jan Działyński zakupił „Pojednanie”. Honorarium pochłonęła zamiana mieszkania na wygodniejsze do pracy, jasne i w centrum miasta. I pieniędzy znowu nie dostało, nawet na opędzenie podstawowych potrzeb. Powrócił więc Grottger do starych praktyk. Zadłużył się w zaprzyjaźnionym sklepiku, w składzie ubraniowym, u ramiarza, u fotografa, u lekarzy po majowym krwotoku. Mimo osłabienia znowu zasiadł do sztalug. Do „Wojny II”. Harował niby galernik po szesnaście godzin na dobę, resztę czasu dzieląc między polskich i francuskich przyjaciół, bieganie po mieście, bywanie w Luwrze, Pałacu Luksemburskim, Wersalu, w Cirque Napoleon dla wysłuchania koncertu muzycznego. W Mountmorency wziął udział w odsłonięciu pomnika ukochanego wieszcza Adama, którego wiersze wywarły niegdyś na młodziutkim Arturze niezatarte wrażenie. Wszędzie zbierał drobne zamówienia, małe pieniądze i wielkie wyrazy uznania. Cieszył się z odwiedzin Matejki, ze spotkania z Rodakowskim, ze stałej obecności dwu swoich przyjaciół:

Władysława Żeleńskiego – kompozytora i Marceliego Krajewskiego. Ten ostatni okazał się być duchem opiekuńczym, dozgonnym towarzyszem, a po śmierci Grottgera, strażnikiem jego dobrej pamięci.

Wśród takiej szarpaniny artysta trwonił swój bezcenny czas i talent dla paru centymów. Byle dach był nad głową, kromka chleba i szczypta tytoniu, żłudny luksus ostatniego nędzarza. Podobnie jak wcześniej w Galicji, gdy wędrował od dworu do dworu. Pieniaki, Śniatynka, Dyniska, Poręba, Śledziejowice koło Wieliczki, i tyle innych. Na tym tułaczym szlaku wszędzie pozostawiał brylantowe odpryski swojego geniuszu. Większość z nich trafiła do muzeów, do prywatnych galerii czy do rąk drobnych kolekcjonerów. I przetrwały. Są dzisiaj chlubą m. in. Londynu, Paryża, Budapesztu, Warszawy, Krakowa. Niektóre jednak zaginęły, znikły jak wdeptane nieuważną nogą w ziemię.

Dwa pobyty Grottgera u Larysz – Niedzielskich w Śledziejowicach (1855 i 1865) upamiętniły się sześcioma jego pracami, w tym znaną szeroko sceną rodzajową „Sprzedaż konia w Śledziejowicach”. Z tego los czterech jest nieznany. Trzy akwarele: „Napad Szwedów”, „Przed domem szlachcica – czyszczenie zbroi” i słynny „Buhaj holenderski” oraz rysunek „Głowa konia” – czekają na odkrywcę. Ja sam rozpytyuję o nie od lat. Wiedząc, że w dworze Niedzielskich po wojnie zorganizowano coś w rodzaju „domu pracy twórczej”, napisałem swego czasu list do Jerzego Waldorffa, znanego krytyka i publicysty muzycznego. Pod datą 8 września 1990 r. uprzejmie mi odpowiedział:

„Szanowny Panie! Śledziejowice, zwane przez moich przyjaciół „Waldorffowem”, jako żem je wynalazł i zarekomendował „Przekrojowi”, wspominam z ogromnym rozrzewnieniem. Były to nasze cudowne, ostatnie lata młodości. Bezustannie cieszenie się tym, że wojnę przeżyliśmy i możemy znów brać się do pracy, a jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, co nas wkrótce będzie czekało pod nazwą „rewolucji stalinowskiej”. Dzisiaj z tej całej licznej gromady, jaka tam prześiadawała latem (Gałczyńscy, Jerzy Andrzejewski, Zygmunt Mycielski, wszyscy współredaktorzy ówczesnego znakomitego „Przekroju”) tułam się po świecie jeszcze tylko ja jeden, niedobitek owych czasów.

Kiedyśmy odnajmowali (1946-1947, przyp. W. Ż.) całe prawe skrzydło dworu, był już on wyraźnie opróżniony z cenniejszych mebli i dzieł sztuki. Na ścianach pamiętam jeszcze tylko kilka drugorzędnych portretów saskich. Żadnego płótna Grottgera sobie nie przypominam. Łączę wyrazy poważania J. Waldorff”.

Z kolei w „Panoramie Wieliczki” (nr.7, kwiecień 1997 r.) zamieściłem apel do Czytelników. Rezultatem było parę przygodnych rozmów i kilka telefonów, owszem bardzo interesujących, które jednak sprawy zaginionych dzieł nie po-

sunęły ani o krok. Z Krakowa tylko otrzymałem anonimową przesyłkę (podpis „wdzięczny uczeń”), która wprawiła mnie w zdumienie i wywołała radość. Zawierała wykonany na grubym kartonie pastelowy portret mężczyzny. Na podstawie starych fotografii z epoki rozpoznałem w nim zmarłego w 1938 r. Stanisława Niedzielskiego. Pamiętał on Grottgera jeszcze z czasów swego dzieciństwa. To dla niego Grottger sporządził ową ołówkową „Głowę konia”. I zapadła cisza. Taka jak sto trzydzieści lat temu w paryskiej pracowni, kiedy artysta odgradzał się od całego zgiełku świata pochylony nad „Wojną II”. Ukończył ją w lipcu. Umieszczoną na Wystawie Światowej nabył goszczący w Paryżu cesarz Franciszek Józef. Był już listopad, ponury i nieprzyjazny. Wcześniej, 1 października pisał do narzeczonej: „Mojej lampy życia już nie widzę! Ja jej dla siebie już nigdzie nie znajdę, bo zdaje mi się, że zgasła”. Umarł 13 grudnia 1867 r. w Amélie-les-Bains w Pirenejach, gdzie Marceli Krajewski bezskutecznie szukał dla niego ratunku. W chwili śmierci Artur Grottger liczył trzydzieści lat i dwa dni. W tym krótkim czasie wykonał tytaniczną pracę, nieprawdopodobnie wielką ilość obrazów olejnych, pastelów, akwarel i rysunków. „...robiłem niezliczone mnóstwo rzeczy dla hrabiów, książąt, królów i pięknych kobiet” – pisał w jednym z listów (10 marca 1859 r.) do przyjaciela Andrzeja Grabowskiego. Lecz najwięcej zrobił dla narodu polskiego, narzucając mu – siłą własnego geniuszu – własną wizję Powstania Styczniowego i organizując w ten sposób pamięć historyczną wszystkich Polaków.

Władysław Żołubak

SŁUGA BOŻY OJCIEC ANZELM GĄDEK Z MARSZOWIC DO ŚWIĘTOŚCI



Urodzony w Marszowicach, (1884 – 1969) szkołę ukończył w Niegowici. Widząc jego zdolności, rodzina posłała go do gimnazjum w Wadowicach, gdzie przebywając w internacie Zakonu Karmelitów Bosych zetknął się z o. Rafałem Kalinowskim (później świętym). Znowu zauważony przez przełożonych, kończy studia na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie. Wraca do Polski, pracowity, zdolny organizator i znakomity kierownik duchowy. Wybrany na doradcę i tłumacza znowu doceniony i dostrzeżony przez Achillesa Ratti, później papieża Piusa XI, zostaje rektorem w Papieskim Kolegium „Teresianum” Aby opisać jego drogę duchową i posługi, brakłoby miejsca w tej książce, w tekście są wymienione jego dokonania. Umiera w klasztorze w Łodzi w opinii świętości.

Marszowice. Wieś różniąca się niewiele od innych wiosek w tym nadrabiańskim rejonie ziemi Gdowskiej. Latem pola tutejsze aż po daleki horyzont złocą się obietnicą sytego chleba, zimą zaś odpoczywają pod chłodną warstwą bieli, oprószonej anielskim pyłem. Tak jest dzisiaj, tak było dawniej, lat temu pięćdziesiąt, sto i więcej. I tam właśnie, w prostej chłopskiej chacie z owym baśniowym pejzażem za oknami, 24 lutego 1884 roku przyszło na świat drugie dziecko, też syn, Antoniego i Salomei z Kowalskich, Gądków. Następnego dnia przyjęty uroczystie na łono Kościoła powszechnego, w nieodległej świątyni parafialnej w Niegowici, otrzymał imiona Maciej i Józef. Kilkanaście lat później, szczególnym zrządzeniem Opatrzności Bożej, otrzymał jeszcze trzecie. Tymczasem Maciek ukończył, też w Niegowici, czteroletnią szkołę ludową i ojciec za poradą przyjaznych mu ludzi, a zwłaszcza pod naciskiem własnej matki, która dostrzegła we wnuku siedlisko zdolności intelektualnych, zawiózł chłopca do Wadowic, i zapisał do tamtejszego gimnazjum. Pełną opiekę i wyżywienie, wszystko bezpłatnie, otrzymał w internacie prowadzonym przez karmelitów bosych. To właśnie w tym okresie Maciek miał szczęście zetknąć się, w relacji uczeń-nauczyciel, z ojcem Rafałem (Józefem Kalinowskim), przeorem klasztoru karmelitańskiego w Czernej, owym legendarnym przywódcą Powstania Styczniowego 1863 roku na Litwie, któremu po schwytaniu przez Rosjan, car wpisał w życiorys karę śmierci, zamienioną ostatecznie w drodze łaski na syberyjską Golgotę katorżnika.

Po ukończeniu gimnazjum Maciej Gądek odbył nowicjat i profesat w Czernej koło Krakowa, gdzie też złożył pierwsze śluby zakonne. Skierowanego na powrót do klasztoru w Wadowicach dla studiów filozoficznych już nie Macieja, lecz brata

Anzelma od św. Andrzeja Corsini, spotkała wielka niespodzianka. Otóż przybyły tam latem 1904 roku z wizytacją apostolską Generał Zakonu o. Rajnald Maria od św. Justa (Rousset) zabrał ze sobą do Rzymu dwóch młodych zakonników. Jednym z nich był właśnie brat Anzelm. Odtąd jego życie zaczyna nabierać tempa. W trakcie studiów na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim złożył śluby zakonne i tam też, w Rzymie, otrzymał święcenia kapłańskie. I już zaczyna się jego niezwykle czynne życie, jako kapłana i zakonnika. Wraca do Polski, do Krakowa, gdzie jako kierownik duchowy, kaznodzieja, wychowawca kleryków, wykładowca teologii, nade wszystko jako spowiednik, posługuje w tutejszym klasztorze. Zakłada również w podwawelskim grodzie Bractwo Dzieciątka Jezus.

W 1916 roku otrzymuje od o. Generała polecenie wyjazdu do Austrii. Występuje tam, jako wykładowca teologii oraz wychowawca polskich kleryków karmelitańskich w Linzu i Wiedniu. W 1918 roku wraca, tym razem do Wadowic, i zostaje przeorem miejscowego klasztoru. Opuszczając po dwóch latach Wadowice, pozostawia tam swoje dzieło: Niższe Seminarium Karmelitańskie. Jako zdolny organizator i znakomity kierownik duchowy został w 1920 roku mianowany przez zakonne władze w Rzymie pierwszym prowincjałem całego Zakonu Karmelitów Bosych na terenie Polski odrodzonej po długim okresie niewoli.

W czasach powojennych, kiedy państwowość polska organizowała się do życia w warunkach, jakie zapewniała wolność, również pomyślano o nowym układzie między Polską a Stolicą Apostolską, którą w Warszawie reprezentował nuncjusz papieski, Achilles Ratti. By uszanować władzę Rzeczypospolitej Ratti na polecenie papieża otrzymał z rąk arcybiskupa Kakowskiego w Archikatedrze św. Jana w Warszawie, sakrę biskupią. Pomocnikiem w różnych sprawach, jednym z doradców i tłumaczem był skromny karmelita o. Anzelm Gądek. Kiedy Achilles Ratti już jako arcybiskup Mediolanu i kardynał, został wybrany papieżem i zasiadł na stolicy Piotrowej pod imieniem Piusa XI, wezwał do Rzymu o. Anzelma i ustanowił go rektorem uczelni, którą właśnie powołano do życia. Jak się okazało później, syn ziemi Marszowickiej pełnił tę funkcję przez lat dziewiętnaście, od 1925 roku do 1944, zawsze ku chwale Boga i Kościoła Powszechnego. Pod jego okiem uczelnia rozwijała się i kwitła. W 1935 roku stosownym dokumentem podniósł ją papież do rangi uniwersyteckiej z prawem nadawania tytułów naukowych.

Oprócz funkcji rektorskiej w Papieskim Kolegium „Teresianum” spełniał jeszcze z nominacji papieża zadania wizytatora apostolskiego seminariów duchownych w Polsce i Kolegiów narodowych w Rzymie, pisał artykuły do czasopism katolickich, był też spowiednikiem wielu wspólnot zakonnych.

Nadeszły jednak ciężkie czasy. Wraz z najazdem Niemiec hitlerowskich i Rosji stalinowskiej na Polskę wybuchła II wojna światowa. Mussolini jako sojusznik Hitlera, stanął po stronie III Rzeszy. Sytuacja gospodarcza pogarszała się z każdym tygodniem. Brakowało wszystkiego. Zwłaszcza w czwartym roku wojny, kiedy wojska niemieckie okupowały Rzym.

Szczególnie wtedy o. Anzelm troszczył się o żywność dla studentów i wykładowców, zabiegał o lekarstwa kiedy buntowało się ich zdrowie. O swoim często zapominał, a kiedy pokazywało mu rogi, wówczas jego powrotem do jakiejś takiej równowagi z dziecięcą ufnością obarczał ojcowskie serce św. Józefa. A ten nigdy go nie zawodził. Jednak w pewnym momencie poczuł się bardzo źle i w tym posępnym nastroju skierował do swoich przełożonych prośbę o zwolnienie go z obowiązków rektora z powodu złego stanu zdrowia. On, taki wulkan energii i żywotności? Pismo pozostało bez echa. Mało tego, w koronie jego posług planowano jeszcze umieścić sakrę biskupią. Dowodem na to jest dokument z opinią kardynała Giuseppe Pizzardo dot. o. Anzelma, jako kandydata na biskupa, przesłany do prałata Domenico Tardiniego w Sekretariacie Stanu.

Lecz wylew krwi do mózgu i częściowy paraliż świętego bohatera niniejszego tekstu, udokumentował wcześniejszą prośbę o akceptację jego rezygnacji ze stanowiska rektorskiego. W obliczu tego faktu o. Anzelm zakończył swoją posługę. Przez pewien czas przebywał w szpitalu, po czym całkowicie wrócił do zdrowia. Uśmiech dobrego losu? Należy sądzić, że tak. Ale za przyczyną niezawodnego, jak się po raz kolejny okazało, św. Józefa, który w sposób wyraźny sprzyjał teraz już byłemu rektorowi słynnej papieskiej uczelni „Teresianum” w Rzymie. W roku 1947 o. Anzelm wrócił do Polski, gdzie znowu pełnił wiele funkcji, m.in. trzykrotnie był wybierany na stanowisko prowincjała, a poza tym podejmował się, jak dotąd, wszystkich zbożnych prac, jak wcześniej i jak zawsze to czynił. Zmarł w opinii świętości 15 X 1969 roku w klasztorze w Łodzi.

Władysław Żołubak

Słowa wdzięczności kieruję pod adresem s. Konrady Zofii Dubel CSCIJ, postulatorki w procesie beatyfikacyjnym, która nadesłała mi pozycje książkowe, źródła powyższego tekstu, m.in. kilkusetstronicowe dzieło własnego autorstwa „Ojciec Anzelm”.

ERAZM NIEDZIELSKI

NUMIZMATYCZNY KONTRAKT STULECIA



Erazm Niedzielski (1812 – 1881), ur. i zm. w Śledziejowicach. Pochowany w rodzinnym grobowcu w Wieliczce. Działacz gospodarczy i kulturalny. Kolekcjoner dzieł sztuki, numizmatów i cennych autografów oraz inkunabułów i starych dokumentów.

W tym epizodzie z niezbyt odległej przeszłości wszystko jest niezwykle: i postacie kontrahentów i przedmiot transakcji, i same dzieje tego przedmiotu. Nie bez znaczenia wydaje się być także waga kontraktu mierzona w dziewiętnastowiecznej walucie wymiennej. Dla wyostrenia ciekawości od razu dodam, że kontrakt opiewał na sumę niebotyczną, ale o tym za chwilę. Siłą sprawczą całego zdarzenia, co wygląda wprost niewiarygodnie, był małeńki pieniążek wokół którego zadzierzgnęły się i rozogniły ludzkie namiętności. Dukat koronacyjny Władysława Łokietka z 1320 roku. Wyjątkowe to znalezisko. Wyjątkowe, bo wówczas jedyne, zostało uratowane od unicestwienia w okresie między Powstaniem Krakowskim 1846 a Wiosną Ludów 1848. Ilekroć natknę się na podobną sytuację, a historia notuje ich sporo, zdumiewa mnie logika szczęśliwego zbiegu okoliczności. I chociaż u podstaw takich ocalań, pozyskań czy odkryć najczęściej leży zwykły rachunek prawdopodobieństwa, nie można im odmówić uroku fascynującej niespodzianki, czasem przywodzącej na myśl jakąś księżycową niemal przygodę z pogranicza jawy i snu. W naszym konkretnym przypadku z pogranicza twardej rzeczywistości i intrygującej bajki o królewskim darze losu. Zresztą zobaczcie sami.

Był rok 1847. Do zakładu złotniczego w Bochni, małym galicyjskim miasteczku wstąpił na chwilę pewien amator numizmatycznych ciekawostek. Już w drzwiach uderzyła weń fala ciepła idąca od mocno nagrzanego pieca. Pochylony w ramionach stary brodaty jubiler pracował w skupieniu, szykował złom szlachetnego kruszcu do przetopienia. W czarnym tyglu leżały złote rupiecie: jakiś zdeklasowany sygnet, fragmenty łańcuszka na szyję, kolczyk pozbawiony towarzystwa do pary, brosza uszkodzona po brzegach i zionąca pośrodku pustką oczodołu po wylupionym szmaragdzie czy jaspisie. Spośród leżących jeszcze na warsztacie ułomnych drobiazgów, których los też był przesądzony, klient bystrym okiem wyłowił niepozorną monetę o średnicy mniej więcej dzisiejszej dwuzłotówki, tylko o wiele cieńszą. Tu opowiadanie można by przerwać i poutyskiwać nad nieuctwem rzemieślnika, bowiem jego umiejętności i płaska wiedza ogra-

niczały się wyłącznie do praktycznej obróbki materiału. Ale co fachowiec zaniedbał, to szczęściem w ostatniej chwili naprawił amator. Siegnął po monetę gwałtownym ruchem i po krótkiej wymianie zdań dobił ze złotnikiem targu. Obydwaj byli zadowoleni. Izaak Rosshaendler, ów bocheński złotnik, bo wrzucił do kasy sześć guldenów, sumę w tamtych czasach nie do pogardzenia i Erazm Niedzielski, nabywca, ponieważ opuszczając zakład unosił ze sobą świeżą zdobycz. O wielkich walorach historycznych, naukowych, kolekcjonerskich i materialnych swej zdobyczy nie miał wtedy najmniejszego pojęcia. Studiowanie monety odłożył na później. Zajmowały go inne troski.

Katastrofa ubiegłorocznego buntu przeciw katom naszej państwowości wywołała, jak zwykle w takich ponurych okolicznościach, bolesne skutki. Dotknęły one przede wszystkim warstwę ziemiańską, nie ominęły więc i dóbr śledziejowickich Erazma, ani jego własnej rodziny. Brat Jan za udział w powstaniu z bronią w ręku został skazany na sześć lat więzienia, a dwór w wyniku najścia chłopów spod znaku Jakuba Szeli – splądrowany, zdewastowany i częściowo spalony. Dopiero w 1849 r. Niedzielski opublikował w II tomie „Biblioteki Warszawskiej” (s. 388) notatkę o dukacie. Był w niej wstrzemięźliwy, nie wysuwał hipotez i nie fantazjował. Jednak podanie tego faktu do publicznej wiadomości emocji nie wywołało. Sprawa stała się głośna i powiało prawdziwą sensacją, kiedy kilkanaście lat potem, głos zabrał krakowski numizmatyk Teofil Żebrawski i mocą swego autorytetu uczonego stwierdził, że dukat jest autentyczny i pochodzi z krótkiej emisji pamiątkowej, wybitej na okoliczność koronacji Łokietka. Nie wszyscy dali się przekonać. Spory, jakie teraz wybuchły, obracały się wokół podstawowego pytania: mamy do czynienia z autentykiem, czy z udanym dziełem fałszerza, i ciągnęły się przez kilka dziesiątków lat. Niedzielski w tym czasie odbudował dwór, pochował wyniszczonego więzieniem i gruźlicą płuc brata, założył rodzinę, na wysokości starostwa wielickiego i Krakowa podjął kilka ważnych społecznie ról i wypełnił je chwalebnie swoją energią i żywą inteligencją. Wreszcie dorobił się opinii znakomitego kolekcjonera i mecenasa sztuki. Nie doczekawszy ostatecznego werdyktu w sprawie swojego największego skarbu zmarł w roku 1881. Bogatą schedę i niepewność co do dukata przejął po nim jego syn Stanisław, doktor praw Uniwersytetu Jagiellońskiego. I on z przejęciem obserwował zapasy polemistów. Ze szczytu dzisiejszych dni cały ten wątek wygląda na zbyt rozdmuchany w stosunku do istoty rzeczy, ale stokilkadziesiąt lat temu, w okresie niewoli, posiadał on również wymiar patriotyczny, dotyczył bowiem wielkości monarchy i chwały Państwa Polskiego. Poza tym przemeblowanie wiedzy historycznej, nawet w drobnym jej fragmencie, wymaga wielkiej ostrożności i mocnych argumentów.

Inaczej cała operacja na nic, pozostałaby tylko przykra woń skandalu. Tymczasem żadne z dostępnych źródeł nie wspomina o istnieniu Łokietkowej monety, dla której surowcem byłoby złoto, choćby najpodlejsze. Ani dokumenty z kancelarii królewskiej, ani rachunki, ani ziemskie księgi sądowe, ani notatki zbieraczy denara św. Piotra. Znamienny ten fakt umknął też uwadze rocznikarzy i kronikarzy, a sumienny Długosz nawet między wierszami swego dzieła nie mrugnął do nas porozumiewawczo w tej sprawie. Ratunkiem mogłyby się okazać ordynacje mennicze z XIV i XV w., ale te nie zachowały się, zniknęły i przepadły w dziejowej zawierusze. Spalone? Zrabowane przez najeźdźców, Szwedów lub Rosjan?

Orędownicy autentyczności Łokietkowego dukata poczuli za plecami mur. I oto całkiem niespodziewanie numizmatyce przyszła z odsieczą sfragistyka czyli nauka o starych pieczęciach. No proszę, jakie to teraz proste: rysunek i rzeźba widniejące na dukacie koronacyjnym Władysława Łokietka są wiernym powtórzeniem rysunku i rzeźby znajdującej się na pieczęci majestatycznej tego władcy. A ponieważ pierwsza taka pieczęć została ujawniona wiele lat później aniżeli dukat, sprawa stała się jasna i bezsporna: o fałszerstwie nie ma mowy, sztuka jest autentykiem. Ten ostateczny wyrok i jego osnowę przedstawił Franciszek Piekosiński w „Wiadomościach Numizmatyczno – Archeologicznych” (nr 3) za rok 1891. Odetchnęli wszyscy z ulgą, odetchnął i Stanisław Niedzielski. Nie na długo jednak.

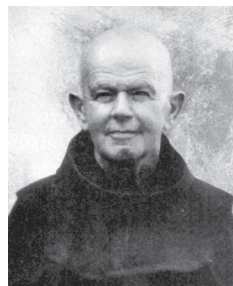
Był bowiem ktoś, kto z dała od Krakowa i Warszawy pilnie śledził przebieg owych uczonych pojedynków, którym właśnie położono kres. Pochodzący ze starej rodziny magnackiej pieczętującej się herbem Leliwa, Emeryk Hutten – Czapski robił w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XIX wieku karierę urzędniczą w służbie cara, aż doszedł do stanowiska wicegubernatora stolicy Imperium Rosyjskiego, Petersburga. Powziąwszy z czasem jak najgorsze zdanie o sferach dworskich, a osobiście o Aleksandrze II, odkrył w sobie drzemiącą dotychczas polskość. W 1879 r. poprosił o dymisję, otrzymał ją i wyjechał do rodzinnego majątku w Stańkowie na Białorusi. Teraz mógł oddać się bez reszty swojej życiowej pasji, zbieractwu, zwłaszcza numizmatów. Warte podkreślenia: nie należał do gatunku tych kolekcjonerów, którymi żywią się kroniki policyjne, czy sądowe. U których siła pożądania upatrzonego obiektu jest tak wielka, że przyćmiewa umysł prowadząc do obłądki, albo popychając do zbrodni, jak tego antykwariusza w Barcelonie, co dla zdobycia upragnionych foliałów zamordował dwunastu najlepszych swoich klientów. Hrabia Emeryk był wewnętrznie zdyscyplinowany, systematyczny i skrupulatny. Prawdziwy wzór wysokiej klasy kolekcjonera. Wyzaczył sobie nawet górną granicę rocznych wydatków na nowe nabytki: cztery

tysiące rubli. Nie mała to kwota, ale zawsze znajdowała się w zasięgu jego ręki. Na koniec z pasji uczynił profesję, a z amatorskiego zbioru – warsztat uczonego. Wydał monumentalne dzieło, które do dziś nie straciło na wartości, pięciotomowy katalog (ostatni tom ukazał się już po jego śmierci) z opisem 2530 pozycji monet i medali polskich. Dzięki temu stał się jednym z najwybitniejszych znawców w dziejach europejskiej numizmatyki. Kiedy wieść o ostatecznym werdykcie w sprawie Łokietkowego dukata dotarła do niego, uznał, że teraz wybiła jego godzina. Sprowadziwszy się na dwa lata przed śmiercią, w 1984 r. do Krakowa, natychmiast nawiązał kontakt z Niedzielskim. Rozmowy były trudne. A że Niedzielski się drożył, to rzecz całkiem zrozumiała, był przecież posiadaczem autentycznego skarbu. Znawcy mi mówią, że gdyby dzisiaj wystawić tego dukata na aukcję, licytacja musiałaby się rozpocząć od stu tysięcy dolarów, chociaż obecnie jest ich kilka egzemplarzy. A wtedy był tylko jeden. Obracając niedawno w swoich palcach tę małą złotą blaszkę z ledwo czytelnym awersem i rewersem, nie mogłem w to uwierzyć. Finał Emerykowych podchodów nastąpił w połowie lipca 1996 r. W pełni pięknego lata udał się, wraz z żoną Elżbietą baronową Meyendorff do Śledziejowic. Pod dachem śledziejowickiego dworu goszczono już różnych znakomitych ludzi, byli tu m. in. Gen. Karol Różycki, Seweryn Goszczyński, Józef Nabelak, Artur Grottger, ale kogoś takiego, kto był wicegubernatorem stolicy carów rosyjskich po raz pierwszy. Kontrakt został zawarty. By do niego przekonać kontrahenta, Czapski dorzucił obraz Matejki. Tu jednak małe rozczarowanie: mimo, że była to bez wątpienia największa transakcja dziewiętnastego stulecia, wysokość sumy, jaką wyłożył Emeryk Czapski nie jest znana. Musiało się o tym dużo mówić w rodzinie, skoro jego wnuczka Maria Czapska rozwodząc się w swojej książce wspomnieniowej („Europa w rodzinie”, W-wa, 1989) na temat hrabiego Emeryka, jego postawy życiowej, pracy i pasji, opowiedziała nam, gdy idzie o monety, wyłącznie o dukacie, i to w dwóch miejscach.

W tydzień po transakcji Emeryk Czapski już nie żył, ale ostatnie życzenie wielkiego kolekcjonera – numizmatyka spełniło się. Niebawem wszystkie jego cenne zbiory, osierocona przez hrabiego najbliższa rodzina ofiarowała Krakowowi. W 1903 r. przejęło je Muzeum Narodowe.

Władysław Żołubak

**SŁUGA BOŻY BRAT ALOJZY KOSIBA
Z WIELICZKI
O WIELICKIM KWESTARZU I MISJONARZU
BOŻEJ MIŁOŚCI**



Postać Brata Alojzego Kosiby, franciszkańskiego kwestarza z Wieliczki jest w naszym powiecie i sąsiednich gminach dobrze znana, gdyż teren na którym pełnił swą posługę, można zawrzeć wewnątrz obszaru którego zewnętrzną linię wyznaczają kolejno miejscowości: zaczynając od rodzimego Klasztoru poprzez Bochnię, Brzesko, Tarnów, Limanową, Stary Sącz, Zakopane, Nowy Targ, Mszanę Dolną, Myślenice. Teraz aż trudno sobie wyobrazić, że sam jeden, wozem czy pieszo, niezależnie od pory roku, wypełniał z miłością służbę Bogu i ludziom i to przez 60. lat.

Bardzo kochał Boga i ludzi, gdy zmarł, współcześnie mu zrobili wszystko, aby został pochowany obok Klasztoru, a nie w miejscu pochówku ojców franciszkanów na cmentarzu parafialnym. Pożegnać go przyszły tłumy, nikt nie wstydził się leż przy trumnie Braciszka ubranej pięknie kwiatami – z której, jak zapisano we wspomnieniu Adeli Mikuły – zdawał się uśmiechać do wszystkich i robił wrażenie śpiącego. Wszyscy go kochali i tak jest nadal. Nikt, kto choć troszkę lepiej pozna jego życie, wspomnienia o nim, nie pozostaje już taki sam. Bowiem Brat Alojzy Kosiba, Alojzeczek, jak zdrobniale nazywali go niektórzy, był Misjonarzem Miłości Bożej. Sam pochodząc z ubogiej rodziny, dla której, choć mając powołanie Boże, poświęcił kilka lat życia, aby ich wspierać materialnie. Dlatego podjął naukę zawodu a później pracę szewca (przez biedę nie mógł podjąć nauki w gimnazjum). Wiedział, znając już jako dziecko jeszcze uboższe rodziny, co znaczy nędza, głód, zimno. W trakcie nauki zawodu każdą wolną chwilę spędzał we franciszkańskim klasztorze w Bieczu.

Po wypełnieniu zobowiązań wobec rodziny, w 1878r odpowiadając na powołanie – wzywający go głos samego Boga – i przyjmując habit franciszkański, kontynuował naukę w szkole Bożej, w pierw w Bieczu, nieopodal rodzinnego domu w Libuszy, później w Jarosławiu, gdzie niezwykle szybko dopuszczono Piotra (jego świeckie imię) do obłóczyn. Patronem dnia był św. Alojzy Gonzaga, stąd to imię przyjął jako franciszkanin. W zakonach wypełnia się także posługi, a że brakowało wówczas w Wieliczce szewca – więc tu właśnie Alojzy Kosiba się znalazł. Tu w 1880 roku kończył nowicjat czyli okres przygotowania i próby, i tu wówczas zdecydował, iż pozostanie bratem zakonnym oraz kwestarzem. W Wielickim klasztorze złożył profesję, czyli śluby na Regułę św. Franciszka a pięć lat

później śluby uroczyste. Przez całe 60. lat, co jest w życiu zakonnym niezwykle, pozostał w klasztorze Wielicze nieprzerwanie, do 4 stycznia 1939 roku, do chwili gdy Bóg powołał go do siebie. I od tej chwili Brat Alojzy Kosiba rozpoczął życie nowe, w wieczności, z Bogiem.

Tak jak na ziemi był gorliwym kwestarzem, powiernikiem, wspomożycielem biednych i chorych oraz znajdujących się w potrzebie także duchowej tak też nie odpoczywa w niebie. Nadal jest powiernikiem i wspomożycielem, tyle że wcześniej posługując całym sobą i tym co w danej chwili posiadał na kwestarskim wozie lub co mógł uczynić, teraz wyprasza dla proszących go o pomoc i wstawiennictwo – przed samym tronem Bożym, i czyni to bardzo skutecznie. O tym, że jest postacią godną naśladowania, świadczą tomy i tomiki wydanych o jego życiu i posłudze książek i publikacji a także film „Braciszek” w którym główną rolę zagrał znany aktor Artur Barciś. Pamiętają o nim w Libuszy, Bieczu oraz, chociaż już po tylu latach, w miejscowościach, które odwiedzał jako kwestarz. Tylko w samej Wielicze nazwano jego imieniem ulicę, stację Caritas, Zespół Szkół Specjalnych, przedszkole, świetlicę środowiskową dla dzieci, która działa przy klasztorze a do niedawna działała Kuchnia Brata Alojzego Kosiby. Tak mocny ślad tu pozostawił - co niezwykle - sam w sobie będąc na przełomie XIX i XX wieku instytucją charytatywną. Jak tak wiele mógł czynić ten jeden człowiek, wie tylko sam Bóg. Bowiem On był dla brata Alojzego najważniejszy, Jego niósł ludziom których spotykał na kwestarskiej drodze, o Nim mówił dzieciom i Jego siłą i natchnieniem wspierał posiłkami biednych i głodnych przybywających pod klasztorną furtę. Wiedząc, że w sercach mieszka Bóg, widział Go we wszystkich potrzebujących, chore dzieci z biednych rodzin zanosił do lekarzy aby udzielili bezpłatnie pomocy lub w aptekach (a w Wielicze były wówczas dwie) wypraszał darmowe leki. Opiekował się opuszczonymi i chorymi mieszkańcami Wieliczki. Zawsze powtarzał akt strzelisty: O mój Jezu Miłosierny.

- Tak więc powracając do jego obecnej posługi, za jego wstawiennictwem do Boga, proszący otrzymują niezwykle wiele łask, a wszystko skrzętnie odnotowywane jest od lat w wielickim klasztorze – mówi proboszcz o. Jacek Biegajło. W roku 1966 zakończono proces informacyjny o życiu, pismach i o istnieniu kultu publicznego pod przewodnictwem ks. abpa Karola Wojtyły. Doczesne szczątki Sługi Bożego Brata Alojzego Kosiby umieszczono w złotej trumience – relikwiarzu a umieścił je w nowo wybudowanej przy Klasztorze a zarazem Sanktuarium Matki Bożej Łaskawej Księżnej Wieliczki - kaplicy z Jej cudownym obrazem, ks. kard. Franciszek Macharski. Kult Brata Alojzego wzrastał – kontynuuje o. Jacek Biegajło – rozpoczęto starania o beatyfikację. Przyjeżdżali i przyjeżdżają do wie-

lickiego klasztoru pielgrzymi grupowo i indywidualnie. Prośby o wstawiennictwo wielickiego kwestarza i podziękowania za otrzymane dzięki niemu od Boga łaski - zamieszczane były licznie i są nadal na stronie www.bratalojzy.com.pl

Ale nie tylko modlono się wyprasząc u Sługi Bożego Brata Alojzego Kosiby łaski, modlono się także o jego rychłą beatyfikację. Dokumenty znajdowały się w Kongregacji do spraw świętych, tam były analizowane, wszystkim zajmowali się postulatorzy i... czekano na cud. I zdarzył się. Teraz trwa analiza tego niezwykłego wydarzenia. W lipcu 2017 roku Papież Franciszek podpisał dekret o heroicznosci cnót Alojzego Kosiby, który wydał 4 lipca 2017 roku Kongres Kardynałów.

Barbara Zapadlińska

Na podstawie:

- „Brat Alojzy Kosiba” Katarzyny Wierzby
- „Nasza Arka” wydania specjalnego o Bracie Alojzym Kosobie nr.10/2015
- rozmowy z proboszczem O. Jackiem Biegajło



KAROL WOJTYŁA TU BYWAŁ

Kazimierz Gurgul (1905 – 1944), ur. w Wielkiej Wsi koło Wojnicza, zginął zamordowany przez Niemców w obozie koncentracyjnym Matthaussen – Gusen. Znakiem matematyk, profesor w Prywatnym Gimnazjum Żeńskim w Wieliczce, następnie w polonijnym szkolnictwie.

Jedyny dworek mieszczański w Wieliczce znajduje się przy ulicy Sienkiewicza 14. Posadowiony u podnóża południowego stoku kotliny, zwraca uwagę przechodnia nieskazitelną bielą ścian, czerwienią czterospadowego dachu i nietypowym frontem. Początkami swymi sięga pierwszej ćwierci XIX wieku. O klasycznym rodowodzie tego obiektu świadczą jego rozmiary, kształty i konstrukcja. Parterowy drewniany na wysokiej podmurówce, jest niezbyt obszerny lecz funkcjonalny i piękny w dwójnasób: na zewnątrz i od wewnątrz. Centralnie usytuowany salonik od strony południowej otwiera się na ganek zdobny czterema kolumnami zwieńczonymi trójkątnym tympanonem. Tam, gdzie niegdyś był podjazd, dzisiaj rozciąga się opadający łagodnie krzywizną ku ulicy niewielki ogród pełen zieleni i pąsowych róż, gdy po temu pora. Jego dzieje są związane przede wszystkim z nazwiskami Pichurów i Gurgulów mimo, że to nie oni go wznosili, i nie oni byli jego pierwszymi właścicielami. Najprawdopodobniej został wystawiony dla jakiegoś wysokiej rangi urzędnika salinarnego. Być może przybył on tutaj z nową falą funkcjonariuszy austriackich po tym, jak Księstwo Warszawskie w roku 1815 upadło definitywnie i kopalnia soli na powrót stała się niepodzielną własnością Habsburgów, aż po kres tej równie jak rosyjska czy pruska, pazernej monarchii. Brak źródeł historycznych i wiarygodnych przekazów ustnych zrodził przypuszczenie o pewnej samoizolacji i obcości kolejnych użytkowników tego dworku. Przychodzili tu więc i odchodzili nie wtapiwszy się w burzliwy pejzaż polskości tamtych czasów. Kimkolwiek zresztą byli, nazwiska ich, profesje, zainteresowania i prywatne pasje, jeśli je mieli, poszły w niepamięć. A sama budowla w oczach miejscowej społeczności stała się na długie dziesiątki lat martwa jak wiekowy lamus, zbutwiały i bezużyteczny. Pierwszy zapis w wielickich księgach wieczystych (wykaz hipoteczny, liczba 185, karta B, s 593, poz. 1-9), oparty na wyroku sądowym z 24 lipca 1871/4032, pochodzi z 1888 roku. Zapis ten i dwa następne dotyczą rodziny niejakiich Włodarczyków. Ale dopiero wówczas dworek ożył i zaznaczył swe miejsce w obiegu kulturalnym i obywatelskim miasta, kiedy posejsza wraz z zabudowaniami „na podstawie kupna i sprzedaży z daty Wieliczka 11

kwietnia 1917 roku” (księgi wieczyste L 147, 31 stycznia 1919 roku) przeszła z rąk Marii Włodarczyków Baronowej na własność Adama Pichóra i jego żony Melanii z Wilhelmstach Fischerów Pichórowej. Oboje byli nauczycielami. Na ścianie saloniku, wśród obrazów i starych fotografii, po przekątnej do wizerunku Matki Boskiej Ostrobramskiej, wisi dużych rozmiarów podwójny ich portret, wykonany w ołówku przez Stanisława Fischera, brata Melanii. Ona, typowa „siłaczka” z wysoko upiętymi włosami i w krynolinie, on mężczyzna w średnim wieku o krótkiej gęstej czuprynie, regularnych rysach twarzy i niezwykłym wzroku... Już wkrótce miało się okazać, że nie wystarczała mu sama katedra profesora gimnazjalnego, ani piękno przyrody ujęte w ściśle prawa fizyki. Tuż po I wojnie światowej razem z paroma innymi działaczami Adam Pichór (1878 – 1941) zakłada Składnicę Kółek Rolniczych. W 1922 reorganizuje Towarzystwo Rolnicze, z którego wyłania się Spółdzielnia Rolniczo – Handlowa „Socha”, instytucja przyjazna drobnym i średnim rolnikom. Ale tym, co go cieszyło najbardziej, było prywatne seminarium nauczycielskie żeńskie T.S.L. Mieściło się w obszernym budynku szkoły powszechnej na Zadorach. On je zorganizował i kierował nim, jako dyrektor, w ciągu dwunastu lat. Do 1932 roku, kiedy to w wyniku tzw. reformy jędrzejowiczowskiej zlikwidowano seminaria, zamieniając je na licea pedagogiczne. Za podstawę właściwego funkcjonowania narodu i państwa, w warunkach świeżo uzyskanej niepodległości, Pichór uważał samorządność, oświatę i szeroko pojętą kulturę. Stąd powyższe kierunki jego działalności zawodowej i społecznej. I stąd jego otwartość na świat i ludzi. Posiadał wielu przyjaciół. Tradycja rodzinna skrętnie przechowuje imiona tych najbliższych.

Wpadali więc tu na wymianę górnych myśli, albo na zwyczajną pogawędkę przy herbacie i ciastkach domowej roboty m.in. Józef Jagielski nauczyciel i dyrektor szkoły, a od 1934 roku burmistrz miasta; Tadeusz Bierczyński, adwokat, zapalony działacz społeczny i polityczny i Tadeusz Korpal. Bywało, że Korpal artysta malarz i wzięty witrażysta, animator życia kulturalnego, przyprowadził ze sobą małe grono najzdolniejszych swoich uczniów gimnazjalnych, wśród których rejdował Zbigniew Ziemiński (1908 – 1978). Nikt z domowników nie przypuszczał wtedy, że za wiele lat stanie się on jednym z najpopularniejszych artystów dramatycznych w Polsce, a kiedy los go rzuci do południowej Ameryki, zostanie tamtejszym Bogusławskim współczesnej narodowej sceny brazylijskiej.

W drugiej połowie lat trzydziestych na listę stałych bywalców tego dworku wpisał się jeszcze jeden nauczyciel, Kazimierz Gurgul (1905 – 1944). Latem 1938 roku wziął ślub z Janiną, najstarszą z córek Adama i Melanii i zamieszkał w gnieździe Pichurów. „Nie nacieszyli się sobą długo” – mówi pani Maria Gurgul, synowa

pani Janiny. A pani Janina przenosząc nagle wzrok w stronę okna dodaje cicho: „Niestety”. Dla niej bowiem i dla jej syna Andrzeja (z którym dzisiaj, jest wczesna jesień 1997, siedzą przy stole w owym legendarnym saloniku) dla nich więc i dla tych, których akurat nie ma lub odeszli już na zawsze, rok 1939 był początkiem długiego okresu ciężkiej próby. W dworek, gdzie rytm codziennego życia wyznaczała praca, modlitwa, kalendarz uroczystości rodzinnych, w tę jego atmosferę pogodnej akceptacji świata, raptem uderzyła Wielka Historia. Ale ta niechciana, złowieszcza i brutalna. Niosąca ze sobą zdarzenia spiętrzone szaleństwem oprawców i grozą zniszczenia, barbarzyńskie w swym okrucieństwie i tak nielogiczne, że aż szatańskie. Hitler inspirujący bezustannie dwudziestowieczny danse macabre, wciąga do tej śmiertelnej gry Polskę. Polska w okrucieństwie obronnym zwraca swoje szeregi, jednym z miliona w tych szeregach jest Kazimierz Gurgul. Zmobilizowany pod koniec sierpnia 1939 w stopniu porucznika, bierze udział w kilku potyczkach z Niemcami. Po ostatniej przedziera się ze swoim pułkiem na Węgry. Tam zostaje internowany. Ideały jakim hołduje i żywioł charakteru nie pozwalają mu na bezczynność. Najpierw krótko, w Szikszó, potem już do końca swoich młodych dni w Balatonboglar uczy matematyki w świeżo utworzonym polskim gimnazjum. Udziela się w Obywatelskim Komitecie d/s Opieki nad Uchodźcami Polskimi, w Polskim Klubie Dyskusyjnym, w Placówce „W”, oficjalnym przedstawicielstwie Rządu gen. Sikorskiego na Europę Środkową w Budapeszcie. Niepokoi się o najbliższych. Między wolnym jeszcze Budapesztem a Wieliczką w okupowanym kraju biegnie zakamuflowana korespondencja prywatna. W dworku znowu lękają się o jego los. A kiedy mówią w listach o sytuacji rodzinnej, o radościach drobnych i wielkich smutkach, to mówią o trwodze i o nadziei. W drugim roku wojny przychodzi na świat jedyne ich dziecko, syn Andrzej – później absolwent Politechniki Krakowskiej, inżynier budownictwa przemysłowego. W trzecim umiera Adam Pichór. Pani Janina, farmaceutka, pracuje w aptece Miczyńskiego. Aby przeżyć następny dzień, coś uprawia koło domu, coś hoduje. Cztery samotne kobiety dzielnie stawiały czoła szarej okupacyjnej rzeczywistości. Jakaś siła magiczna musiała tkwić w tym dworku, bo nadal pulsował życiem i jak dawniej nawiedzały go wysokie duchy rozświetlające mroczny czas. Co prawda przeredziły się szeregi starych przyjaciół, jednak miejsce tych co odeszli z konieczności zajęli nowi. Na sąsiedniej ulicy, Pocztowej, mieszkała pani Leway, nauczycielka prowadząca tajne komplety. Oficjalnie dawała lekcje języków obcych. Przyjeżdżali do niej uczniowie szkół średnich i studenci z Krakowa. Po lekcjach zaglądali do dworku. Tu można było swobodnie rozmawiać, podzielić się swoim bólem czy radością, jakąś przygodą intelektualną. Zasięgnąć prawdziwych informacji o zdarzeniach wojennych, gło-

śno projektować bieżące życie i snuć plany na przyszłość. Dobry żart albo zabawną anegdotę przyjmowano jak bukiet pachnących wiosną kwiatów. Wybornie musieli się tu czuć, skoro częstymi gośćmi bywali: Lucjan Kydryński i jego starszy brat Juliusz – literat, człowiek teatru, zanim został aresztowany przez gestapo 16 kwietnia 1942 w trakcie osławionej łapanki w kawiarni krakowskiego Domu Plastyka. Wtedy też w czasie okupacji i pod tym dachem zrodziła się przyjaźń między Alfonsem Długoszem i Stanisławem Fischerem. Po latach jeden stworzył Muzeum Żup Krakowskich w Wieliczce, drugi Muzeum Ziemi Bocheńskiej w Bochni. Bohaterami wizyt, które już dawno zostały przekute w mityczne niemal zdarzenia byli dwaj inni młodzi ludzie. Na próżno szukać odpowiednich słów. Żadne nie zobrazuje dokładnie tak dawno minionych czasów. Wymykają się barwy, zapachy, słowa, jakie padały pięćdziesiąt cztery lata temu (w 1944 r.). Wystarczy poprzestać na imionach tych dwóch wielkich dzisiaj ludzi, będących własnością Polski i świata: Franciszek Macharski i Karol Wojtyła, kardynał i papież. „Ostatni raz Ojciec Święty i Ksiądz Kardynał” – mówi pani Janina – „byli u nas za młodu na imieninach mojej matki Melanii, w 1944”. Kroniki rodzinnej nikt tu nie prowadzi. Wszystko wydaje się być jeszcze zbyt żywe, aby sięgnąć po pióro. Lecz kilka lat temu szesnastoletnia Ewa Gurgul, wnuczka Kazimierza, w krótkiej konkursowej pracy, mając za temat „sagę rodzinną” napisała: „Dziadek mój nigdy nie zobaczył swojego jedynego syna, który urodził się po internowaniu na Węgrzech. Korespondencję, fotografię mojego ojca, modlitewnik mojego dziadka przyjaciele przekazali rodzinie po wojnie. Pewną satysfakcją dla Babci i Ojca są publikacje współpracowników i uczniów K. Gurgula, w których wspominają jego działalność”. 19 marca 1944 r. Niemcy aresztowali w Budapeszcie prof. Gurgula, wywieźli do obozu Mauthausen – Gusen i tam zamordowali. Ojczyzna zażądała od niego siły i zdolności, otrzymała ofiarę z życia, a więc wszystko czym dysponuje człowiek. Ale jego duch pozostał w dworku, i być może to on sprawia, że barwy życia w nim bogate, a sama budowa pięknieje. Obiekt wpisano do rejestru zabytków pod nr A – 625 na podstawie decyzji z 13 listopada 1990 roku.

Władysław Żołubak

KONRAD SWINARSKI

LATA ŚLĄSKIE I WIELICKIE



Konrad Swinarski (1929 – 1975), ur. w Warszawie, zginął w katastrofie lotniczej pod Damaszkim. Światowej sławy reżyser teatralny. W latach 1936 – 1945 mieszkał w Wieliczce przy ulicy ks. Józefa Poniatowskiego (w czasie okupacji niemieckiej Goethestrasse). Od roku 1936 do 1939 był uczniem miejscowej Szkoły Podstawowej nr 2 im. Tadeusza Kościuszki.

Konrad Swinarski zginął w katastrofie lotniczej pod Damaszkim 19 sierpnia 1975. Lecił wówczas na festiwal teatralny do Sziraz. Jego twórcza droga i dokonania artystyczne zostały już wielokrotnie opisane i zinterpretowane. Do dziś nie tylko pamięć o nim, ale i jego dzieło wykazują żywotność. Okres świetności tego wybitnego reżysera znany jest powszechnie.

Inaczej rzecz się ma z tą częścią jego biografii, która dotyczy dzieciństwa i młodości. Z tego okresu ukazały się nieliczne tylko wzmianki, napomknienia, pojedyncze zdania. A może właśnie tam, u progu biografii, znajduje się jeden z kluczy do twórczości i postawy artysty.

I oto w „Przekroju” (nr 2193 z czerwca 1987) ukazał się artykuł „Śląskie lata Konrada Swinarskiego”. Łukasz Wyrzykowski spisał swoimi słowami wspomnienia człowieka pamiętającego młodego Konrada z czasów tuż po wojnie, kiedy mieszkał on w Katowicach. Tekst interesujący o tyle, że poruszono w nim temat mało znany. Dowiadujemy się z tej opowieści o usposobieniu chłopca, nad wyraz poważnym i skrytym, o jego krótkotrwałych przygodach sercowych, o wielkim wpływie Cybińskiego na Konrada, o tym, że ów opiekun (około trzech lat przebywał Swinarski w jego domu) rozbudził w nim żylkę reżyserską i plastyczną, ponieważ „sam był filmowcem – amatorem, jak również pięknie malował”. Całość wieńczy konkluzja: „gdyby nie dom przy ulicy Żwirki i Wigury, dom Mieczysława Cybińskiego, warunki, jakie stworzono młodemu Konradowi, możliwość długoletnich studiów... – nie wiadomo, czy powstałyby wielkie spektakle na scenach Krakowa, Warszawy, spektakle, które zbudowały wielkość i legendę Konrada Swinarskiego”.

Otóż nie zgadzam się z tym. Kogoś wyraźnie poniosła fantazja. Bo czego jak czego, ale wielkości artysty należy się doszukiwać nade wszystko w nim samym. W jego uzdolnieniach, zainteresowaniach, wrażliwości, sposobie patrzenia na świat i percepcji tego świata, i w tysiącu innych rzeczy, których wyłuszczenie jest tutaj zbędne. Naturalnie warunki i okoliczności egzystencji, innymi słowy los też

odgrywa w tym niebagatelną rolę. Owszem, w życiu człowieka, zwłaszcza młodego, który nie uświadamia sobie drzemiących w nim talentów, może zaistnieć taka sytuacja, kiedy to pod wpływem zewnętrznych bodźców nagle odezwą się owe uzdolnienia. Ale tak się akurat składa, że u Swinarskiego istniał od dzieciństwa pewien ciąg tych samych zainteresowań, którą uparcie kontynuował. I tylko własnej determinacji mógł zawdzięczać, że nie zwichnięto mu, w Katowicach właśnie, przyszłej drogi życiowej. W artykule mówi się niedwuznacznie o naciskach rodziny Cybińskich, by jako kierunek studiów obrał medycynę. Nie neguję serdeczności tych ludzi. Oni, według własnego rozumienia, z pewnością chcieli jak najlepiej. Zresztą już sam fakt przygarnięcia sieroty jest powodem do chwały. A przecież również ukończenie przez Swinarskiego wieloletnich studiów, najpierw plastycznych w Łodzi, później reżyserskich w Warszawie, wydaje mi się sprawą wychodzącą poza dobrodziejstwo Cybińskich.

Niestety pamięć ludzka bywa zawodna i z biegiem lat staje się dziurawa jak rzeszoto, zaś psychika lubi przydawać blasku tam, gdzie ongiś były ledwie szarości. Autor zawiesił tę starą prawdę na kołku i zbyt zaufał pamięci swojego rozmówcy. Stąd pomyłki i znaki zapytania nad pewnymi wątkami. Skutek? Nie do końca prawdziwy obraz śląskich lat tej niewątpliwie wspaniałej i zarazem tragicznej postaci.

Dzieciństwo Swinarskiego bowiem pełne było dramatów. Ojciec jego, pułkownik W.P., umiera na raka w 1935 roku. W następnym Swinarscy sprowadzili się do Wieliczki. Chłopiec miał wówczas siedem lat. To był cios pierwszy. Drugi i następne przyszły niebawem. Samotna matka nadal prowadziła dom na wysokiej stopie. Zatrudniała bonę do dzieci, Henryka i młodszego Konrada, osobno służącą, zabiegała też o stosowny wygląd własnej willi. Zawodowo nie pracowała. W 1939, w momencie wkroczenia Niemców, wdowia renta stała się bezużyteczna. Imgard Swinarska, z domu Liczbińska, przypomniawszy sobie wtedy, a może to jej przypomniano, trudno dzisiaj dociec, że jej matka była rodowitą Niemką. Uzyskała więc zapis w dowodzie osobistym: narodowość niemiecka. Przez całą niemal wojnę prowadziła w Wieliczce rozlewnię piwa i wód gazowanych.

Czy u podstaw decyzji o zmianie narodowości legły motywy materialne czy jakiegokolwiek inne, nie zmienia to faktu, że jej krok był wysoce naganny. Był również, jak się później okazało, brzemienny w tragiczne skutki. Groźny los zawisł nad tą nieszczęsną kobietą. Późną jesienią 1944, gdy od wschodu zbliżał się front, okupant ewakuował z Wieliczki mieszkańców narodowości niemieckiej. Swinarscy znaleźli się na Śląsku. Henryk, zmobilizowany do armii niemieckiej, zmarł

z ran odniesionych podczas walk pod Budziszynem. Zaś Swinarska po wyzwoleniu osadzona została w obozie przejściowym, zapadła na tyfus, i to stało się przyczyną jej zgonu. Był rok 1945. Siedemnastoletni Konrad pozostał sam. Wystarczyło parę lat, by dziecięce sny o szczęśliwym i bezpiecznym domu legły w ruinie. Czy w kontekście tego łańcucha nieszczęść może dziwić brak wylewności, małomówność, wręcz skrytość młodzieńca, który nie tak dawno, będąc jeszcze dzieckiem, odznaczał się żywym i pogodnym usposobieniem?

Dotarłem do wielu osób pamiętających wielkie lata Konrada. Ilustracją ich wspomnień mogą być zdjęcia z tamtego okresu. Miałem je w rękach. Są to fotografie, a w jednym przypadku sztambuch z całkiem udanym rysunkiem i wpisem małego Konrada, bezcenne dla tych ludzi pamiątki przechowywane z pietyzmem, jak po kimś bardzo bliskim. Bo trzeba dodać, że niektóre przyjaźni z dzieciństwa przetrwały aż do śmierci Swinarskiego. Co charakterystyczne, jako dojrzały już człowiek, a później znany artysta, wracał nie tylko na Śląsk. Można by powiedzieć, że chętnie powracał do tych miejsc, znanych sobie wcześniej gdzie czuł przyjazną atmosferę nasyconą serdecznością i ciepłem rodzinnym. Często więc bywał w Wieliczce.

Przyjeżdżał tu sam albo z przyjaciółmi do państwa Włodyków. Niezwykle skromny, spokojny i poważny, ożywiał się i wpadał w dobry humor na wspomnienie wspólnych dziecięcych psot i zabaw. A były te zabawy zwyczajne, niewymyślne. Wśród nich zabawa w teatr. Nic osobliwego. Tylko że Konrad czynił to w sposób nieprzeciętny. Tutaj był już, a miał wtedy 11 – 12 lat, prawdziwym przywódcą sporej grupki dzieci. Daleki od chwilowego kaprysu traktował to zajęcie całkiem serio. Wszystko chwycił mocną ręką, narzucał swoją wolę i zamysł jakiegoś „spektaklu” przeprowadzał konsekwentnie od początku do końca. Były to zazwyczaj inscenizacje bajek w rodzaju „Śpiącej królowny” czy „Kopciuszka”. Umiejętnie dobierał „aktorów” do poszczególnych ról, dbał o odpowiednią charakterystykę, niektóre kostiumy szył sam. „Scenę”, miejsce starannie dobrane, na ogół była to część ogrodu dobiegająca ściany domu, zabudowywał dekoracjami własnego pomysłu. „Premierę” poprzedzały liczne próby. Tekst, ruch, gestykulacja, mimika musiały być opanowane niemal perfekcyjnie. Po „premierze”, naturalnie w kostiumach, pozowano do wspólnej fotografii. Na szczęście jedna z nich się zachowała.

Tak z perspektywy prawie półwiecza, widzi to pani Maria Grabowska, gająca w dziecięcym „teatrze” Konrada Swinarskiego rolę królowy Śnieżki. Tak pamiętają to inni. Na przykład pan Andrzej Włodyka, szcząc się przyjaźnią Swinarskiego (gościł go pan Andrzej nie tylko u siebie w Warszawie, również wówczas,

gdy był pracownikiem polskiego przedstawicielstwa handlowego w Kolonii w latach 1964 – 69, a reżyser za każdym swoim pobytem w RFN wpadał do niego).

Pod jednym z trzech zdjęć zamieszczonych w „Przekroju” widnieje podpis „Zdjęcie z Istebnej”. Zaś w komentarzu do tej fotografii – przedstawia ona młodziutkiego Konrada z delikatną blondynką – mówi się o wielkiej wakacyjnej miłości: „Przez dwa tygodnie poza sobą świata nie widzieli”. Nie znam sfery uczuciowej Swinarskiego. Ale owa delikatna blondynka z fotografii to ówczesna wieloletnia jego sympatia, jeszcze z Wieliczki. I łączyło ich długo – nie wiem, czy uczucie – zainteresowanie sztukami pięknymi (Konrad już jako dziecko zachwycał umiejętnością posługiwania się ołówkiem i pędzelkiem). Pani Teresa Rudowicz, bo o nią idzie, ukończyła później studia plastyczne. Gwoli ścisłości trzeba dodać, że w Istebnej nigdy nie była, natomiast jeździła często do Katowic, do Konrada. Ona też stanowiła jeden z filarów „spektakli wielickich”.

A więc nie Katowice rozbudziły w Konradzie Swinarskim zainteresowanie teatrem. I oczywiście nie Wieliczka. Po prostu teatr tkwił w nim.

Władysław Żołubak

JÓZEF DUDA AMERYKAŃSKA PRZYGODA

Józef Duda (1929 – 2013), ur. w Żabnie, zm. w Wieliczce, architekt wnętrz i metaloplastyk, był równocześnie znakomitym konserwatorem dzieł sztuki. Prace artysty znajdują się m. in. w Polsce i w USA, gdzie działał przez wiele lat.



Jeżeli dwudziestoletni pobyt na obczyźnie uznać za przygodę, oczywiście przygodę życiową, to taka przygoda spotkała Józefa Dudę. Wielickiego plastyka, artystę, który w chwili owej zasadniczej odmiany losu liczył około pięćdziesiątki i posiadał dorobek twórczy mogący go już w znacznej mierze satysfakcjonować.

Istotnie, zanim ze swoim latającym dywanem mądrej fantazji artystycznej przycumował na dłużej do wschodniego wybrzeża Ameryki w Doylestown jego dzieła od lat zdobyły szkoły, świątynie, budowle użyteczności publicznej, muzea w kraju i za granicą; znajdowały się też w rękach prywatnych. Na ogół wszystkie te prace można ująć w ramy tradycyjnych pojęć detalu architektonicznego i małej formy rzeźbiarskiej. Wypełnione po brzegi mięszmem trafnych przemyśleń i oryginalnych rozwiązań formalnych świadczą o sztuce wysokiej próby. A ponieważ artysta nigdy nie stronił i od robót typowo konserwatorskich, zwłaszcza tam, gdzie kunszt wręcz wielkiej klasy specjalisty był konieczny – kilka cennych obiektów zabytkowych zawdzięcza mu swój blask i trwanie w kształcie, jaki niegdyś wymusiła na nich historia.

Tworzywem plastycznym, które Dudę wcześniej zauroczyło jest metal we wszystkich jego odmianach i związkach, od zwykłego żelaza po srebro i złoto. Piaskowiec, marmur, granit, kość słoniowa, drzewo hebanowe czy lipowe samo w sobie nigdy nie budziły jakichś szczególnych skojarzeń ani emocji. W metalach zaś wyobraźnia dawnych ludzi lokowała różnorodne pozafizyczne właściwości, oplatała je przesadami. W żelazie na przykład upatrywano siedliska złych mocy. I dlatego, jak pisze Johan Huizinga w „Jesieni średniowiecza”, bywało, że chory wołał ryzykować zdrowiem, a nawet życiem byle by tylko nie dopuścić do zetknięcia lancetu z własnym ciałem. Światły umysł współczesnego człowieka uwolnił metale od zabobonu, pozostawił w nich jednak wyobrażenie zasługi, siły, potęgi, trwałości, bogactwa i blasku; blasku świąt i uroczystości, blasku urzędu, pozycji społecznej i urody, krótko mówiąc wyobrażenie tego, co ludzi zawsze pociągało, i co według powszechnego mniemania czyni życie ciekawszym, piękniejszym i bardziej wzniosłym. Tu sytuują się złote insygnia królewskie, srebrne

zastawy stołowe, pomniki i statuetki z brązu, ozdobne lustra z polerowanej miedzi, świeczniki i kandelabry, klejnoty i precjoza w otoku szlachetnych kruszców; również sprzęty liturgiczne, monstrancje, wystrój ołtarzy i dzwony kościelne; i całe mnóstwo innych przedmiotów, fragmentów większej całości czy oderwanych od funkcji praktycznej samoistnych dzieł. Ale przed świadomym i ambitnym twórcą odsłania się jeszcze ukryty w cieniu rewers tej dziedziny sztuki, do którego laik zazwyczaj nie przywiązuje większej wagi. Na jakie trudności natrafia artysta posługujący się tym pozornie tylko łatwym materiałem, o ograniczeniach jakie niesie on ze sobą, o bardzo cienkiej linii biegnącej między poprawnością i majstersztykiem, o niebezpieczeństwie rzemieślniczej sztampy, w jaką szybko można popaść, gdy zabraknie odważnej samokontroli – o wszystkich tych pułapkach Duda doskonale wiedział. Nie był mu też obcy zakodowany w tej profesji wyższego rzędu niewygodny pierwiastek braku pewnego komfortu. W barwnym ogrodzie sztuk zwanych pięknymi rzeźbiarz małych form to prawie anachoreta. Żywe kolory, rozmach, swoboda w doborze i potraktowaniu tematu muszą tu ustąpić miejsca szczególnie surowej dyscyplinie. Przysłał więc Duda na owe twarde reguły gry. A gra, jak się później okazało, była warta świeczki – osiągnął przecież sukces i artystyczny, i życiowy. Na wszystkim bowiem co wyszło spod jego ręki, co opuściło jego pracownię wycisnął wyraźnie piętno swojej oryginalnej indywidualności. Spośród tych prac wiele przejawia charakter dzieł prawdziwie natchnionych, ale o tym będzie jeszcze mowa.

Siedemdziesięcioletni dzisiaj artysta, nadal zresztą niezwykle żywotny twórco i fizycznie, urodził się 6 lutego 1929 roku w Żabnie koło Tarnowa. Po maturze wyruszył do Wrocławia. Studia na Wydziale Architektury Wnętrz tamtejszej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych zakończone w 1954 pracą dyplomową pod kierunkiem profesorów Winczego i Sigmunta dały mu stopień naukowy magistra i tytuł architekta wnętrz i metaloplastyka.

Przed absolwentem takiej specjalności natychmiast otworem stanął Kraków. Prężny ośrodek naukowy, kulturalny i artystyczny, miasto niezliczonej ilości zabytków przyprószonych historią, wyzłoconych legendą. Gdzie pod murami sędziwych kamienic i kościołów jeszcze dzisiaj przemykają znajome cienie Wita Stwosza, Jana Jakuba Caraglio z Werony, Tomasza Dolabelli, Jana Marii Padovano, Daniela Chodowieckiego. O tych i o wielu innych sztycharzach, medalierach, złotnikach pisze Feliks Kiryk na 495 obszernych stronicach oschłego, a przecież budzącego niesłabnące zainteresowanie raportu z przeszłości pod tytułem „Cech Rzemiosł Metalowych w Krakowie. Zarys dziejów do 1939 roku.” (Kraków 1972). Co w tej księdze aż zawiesistej od dat, faktów i nazwisk uderza? Oto każdy z wy-

bitnych twórców odznaczał się wielką ruchliwością artystyczną i egzystencjalną. Nie inaczej jest z Józefem Dudą. Przez pierwsze dwa lata po dyplomie był zatrudniony w Pracowniach Konserwacji Zabytków, gdzie pod koniec zajmował stanowisko artysty konserwatora metaloplastyka. Wykonał wtedy m.in. metalowy wystrój wnętrza Starej Synagogi przy ulicy Szerokiej w Krakowie. Następnie przechodzi do zakładów jubilerskich „Imago Artis”. Tu, jako projektant i wykonawca wzorcowej biżuterii, cieszy się sporym zakresem twórczej swobody. Ale i to go nie zadowala. Na początku lat sześćdziesiątych zrywa z „Imago Artis” i rozpoczyna działalność artystyczną na własny rachunek. Ponieważ pod koniec 1963 roku sprowadził się wraz z rodziną do Wieliczki, tutaj urządził swoją pracownię, z której dzieła jego rąk i talentu będą wychodziły w szeroki świat. Obsyła nimi wystawy krajowe i zagraniczne, a zatrzymują je muzea we Wrocławiu, Krakowie, Wieliczce, Oświęcimiu, Solorze, Watykanie i Sofii. Ameryka upomni się o artystę nieco później. Na razie realizuje on pracochłonne zamówienia: rzeźbiarski element dekoracyjny w stali spawanej dla Muzeum Oświęcimskiego, ozdobne kraty żelazne dla rabczańskie Muzeum im. Władysława Orkana, dużych rozmiarów płaskorzeźbę wykonaną w metalu, która zawisła wewnątrz Nowego Domu Zdrojowego w Krynicy. Zlecenie Muzeum Historycznego Miasta Krakowa obejmowało mosiężne lustra odbłaskowe i mosiężne detale do zabytkowych pieców kaflowych. A gdy przemierzając Rynek krakowski uniesiecie wzrok i waszym oczom ukaże się pochwycony w tryby ratuszowego zegara czas, którego lica wystawione na wszystkie strony świata przypominają nam o minutach chwały i długich godzinach znikomości ludzkich losów – wiedźcie, że te cztery wielkie tarcze też są dziełem Józefa Dudy.

Znawcy podnoszą jego profesjonalizm i wyczucie artystyczne. Leży przede mną cała teczka papierów urzędowych, spośród których nie jeden bardziej tchnie mini recenzją, aniżeli biurokratycznym świadectwem pracy. Oto przykład: „... znany krakowski artysta – rzeźbiarz Józef Duda jest projektantem i wykonawcą zespołu kilkunastu krat ozdobnych, lamp oświetleniowych i napisu – nazwy Muzeum, w Ratuszu Kazimierzowskim, będącego główną siedzibą naszej placówki. Prace te artysta zaprojektował i wykonał na zlecenie Dyrekcji Muzeum w okresie restauracji gmachu w latach 1967 – 68. Józef Duda nawiązał w swoich pracach do renesansowego charakteru zabytku i stworzył nie tylko funkcjonalne ale dzieła dostojne i piękne. Są one ważnym elementem dekoracyjnym całego Ratusza i dobrym świadectwem zarówno wysokich umiejętności technicznych, jak też artystycznych” – czytamy w piśmie wystawionym pod datą 25 czerwca 1980 przez

Muzeum Etnograficzne w Krakowie i podpisanym przez ówczesnego dyrektora Edwarda Waligórę.

Pracami Dudy może się jeszcze poszczycić Mszana Dolna, gdzie przyozdobił gmach Ochotniczej Straży Pożarnej i Glisne koło Mszany – świątynią, z niewielkim lecz pięknym przybytkiem Pańskim na miarę oczekiwań tamtejszej społeczności wiernych. Dla Kościoła był to bardzo trudny okres. Ówczesne władze państwowe torpedowały wznoszenie budowli sakralnych i w wielu wypadkach jedynie od samozaparcia, poświęcenia i zwyczajnych wybiegów stosowanych przez wiernych zależało czy kościół gdzieś stanął. Glisne jest tego wyborną ilustracją, na której widać jak prywatny dom mieszkalny przeobraża się w kaplicę, a ta z kolei w świątynię z niemal prawdziwego zdarzenia. Nad kształtem i wystrojem tej budowli czuwał Duda od samego początku i jako architekt, i jako plastyk. Doświadczenia stąd wyniesione znacznie poszerzą jego horyzont artystyczny. I będą procentować, gdy w niewiele lat potem zwiąże swoje imię z Sanktuarium czarnej Madonny w Doylestown, gdzie wystąpi w potrójnej roli: projektanta, kierownika i jednocześnie wykonawcy całego szeregu robót dotyczących sfery funkcjonalnej i stosownego wystroju owej słynnej amerykańskiej Częstochowy, miejsca kultu maryjnego i masowych pielgrzymek, zwłaszcza tamtejszej Polonii.

Uprawia jeszcze medalierstwo. Co prawda czyni to na marginesie swej twórczości, ale z całą powagą, na jaką zasługuje ta szlachetna odmiana sztuki rzeźbiarskiej. Trzy spośród większej liczby wykonanych przez siebie medali okolicznościowych, ten wielczanin z wyboru poświęca swojemu miastu. Pierwszy wybity został w roku 1968 w związku z „600 – leciem polskiego prawa górniczego 1368 – 1968”, dwa następne pochodzą z lat 1972 oraz 1997 i dotyczą jubileuszu 100 – lecia i 125 – lecia istnienia Towarzystwa Śpiewaczego i Chóru „Lutnia”, ważnej w lokalnym krajobrazie kulturalnym amatorskiej instytucji. Inna praca z 1968 roku to kuta w miedzi tablica pamiątkowa wmurowana w ścianę przestronnego korytarza Szkoły Podstawowej nr 1 na Zadorach. Osnowa umieszczona pod wizerunkiem Kazimierza Wielkiego przypomina zasługi tego króla dla górnictwa. Uroczyste jej odsłonięcie uświetniło ceremonię nadania szkole imienia. Odtąd „jedynce” patronował ów ostatni z rodu Piastów na polskim tronie.

Ale pytanie, jakie trzydzieści jeden lat temu, tam, na szkolnym korytarzu, pośród rozgwaru podeksycytowanych gospodarzy i zaproszonych gości, zadałem artyście dotyczyło szczegółów innej sprawy: Rok wcześniej obchodziliśmy 150. rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki. Władze miejskie Krakowa w ostatniej prawie chwili rozpięły konkurs na urnę, w której symboliczną garść ziemi z kopca na wzgórzu bł. Bronisławy miano uroczystie zawieźć do Solury, gdzie Naczel-

nik korzystając ze szwajcarskiej gościnności spędził ostatni okres swego życia. Termin konkursu był faktycznie bardzo krótki. Na pracę koncepcyjną, projekt, model i wykonanie sztuki pozostało zaledwie kilka dni. I Duda konkurs wygrał. Ukazały się notatki prasowe, zamieszczono zdjęcia urny. Naczynie funeralne jego pomysłu odbiega całkowicie od tradycyjnej formy wazonu. Jest to okrągła płaska puszka kryjąca ziemię, a na tej puszcze posadowiony orzeł. Z nawałnicy wariantów artysta wybrał ten najbardziej stonowany, surowy niemal w swej prostocie, lecz zarazem pełen ekspresji. Interpretacja dzieła nie następuje szczególnego wysiłku. Zarówno jego symbolika, jak i zawarta w nim anegdota są nader czytelne. Wysoki ten orzeł nie wzleci i nie poszybuję w przestworza – z opuszczonymi żałobnie skrzydłami i drapieżną głową, niby jakiś mityczny strażnik pobudzony nadzwyczajną ostrożnością będzie po wsze czasy czuwał nad powierzoną mu relikwią narodową, ową garścią ziemi uświęconej krwią bohaterów m.in. spod Racławic, Maciejowic, Dubienki i Saratogi. Całość robi nieodparte wrażenie dostojnego monumentu przekutego w miniaturę. Nie wdając się w zbyt skrupulatną analizę pozostałych prac, już na pierwszy rzut oka można dostrzec pewien charakterystyczny rys tej interesującej twórczości: Otóż Duda należy do takich artystów, u których jakaś idea bliska ich sercu, jakiś temat czy wątek staje się obsesją do tego stopnia, że muszą to manifestować przy każdej nadarzającej się okazji. W przypadku naszego protagonisty będzie to uporczywa wizja orła, Orła Białego. Motyw ten bowiem przewija się przez jego twórczość stale. Już na jednej z pierwszych wystaw swoich prac w 1961 r. w Nowym Targu, obok kinkietów, świeczników, lamp itp., jako siódmą według „Programu” pozycję, zaprezentował pełną rzeźbę orła wykonaną w metalu. Kunsztowne łańcuchy ceremonialne, jakie w różnym czasie wychodzą spod jego ręki, emblematy, patery nie mogą się obejść bez tego motywu. Nawet symboliczny klucz do bram miasta – miasta Krakowa – posiada ów element, który tu służy nie tylko ku ozdobie. Przy tym żaden z tych orłów, płaskorzeźbiony czy pełnowymiarowy, nie jest prostą kopią Godła, który stanowi bogatą w znaczenia autorską mutację tego Znaku.

Oczywiście przywołane tu prace nie wyczerpują całej listy tego, co Józef Duda wykonał na przestrzeni kilkudziesięciu lat swej działalności artystycznej. Ale też tekst niniejszy nie rości sobie ambicji katalogu. Jest nieśmiałą próbą naszkicowania losów człowieka, który wraz z narodzinami otrzymał był jeden z największych darów: talent, i co z tym darem uczynił. Zwodniczo prosta odpowiedź brzmi: Rozwijał go w sobie, nieustannie podejmując wszelkie wyzwania. Są jednak dziedziny twórczości, gdzie ani zamówienie, ani warunki jego realizacji nie odgrywają tak istotnej roli, jak w przypadku architekta i rzeźbiarza. Kompozytor układać partytury może

wszędzie; podobnie malarz czy grafik – z konieczności zadowolą się nawet mansardą, piwnicą albo skrawkiem trotuaru; gdy idzie o literaturę, to skrajne sytuacje mówią same za siebie: markiz de Sade pisał zamknięty w zakładzie dla obłąkanych, Diderot wprawdzie w przestronnym pomieszczeniu, ale przecież w Bastylii, Conrad – Korzeniowski na chyboczącym się stateczku, w kajucie mniejszej niż zwyczajna cela więzienna, w jakiej Karol May zmyślał i przelewał na papier swoje porywające przygody – przy tym wszystkim żaden z nich nie oglądał się na jakiegokolwiek mecenasa. Z architektem i rzeźbiarzem sprawa wygląda zupełnie inaczej. Musi on mieć dużo przestrzeni, powietrza i światła. I konkretne zamówienia. W przeciwnym wypadku będzie się dusił. Świadomi tej oczywistości wchodzimy teraz w lata siedemdziesiąte. W biografii artystycznej Dudy jest to okres pewnego zawirowania, w którym pojawia się i zaczyna odgrywać coraz większą rolę Ameryka. Z tą tendencją sąsiaduje rzecz, z czysto ludzkiego punktu widzenia, godna uwagi: wysokie poczucie odpowiedzialności za najbliższych. Pomyślnie układa sprawy rodzinne. Wraz z żoną Józefą daje dzieciom jak najstaranniejsze wychowanie i wykształcenie.

Zanim uda się do Ameryki, artysta układa pomyślnie sprawy rodzinne. Pierworodny Jerzy, któremu nawiasem mówiąc winien jestem wdzięczność za umożliwienie mi wglądu w dokumentację prac jego Ojca, ukończył w tym czasie Wyższą Szkołę Pedagogiczną, drugi syn Eligiusz uzyskał na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie tytuł artysty malarza; ostatnie z trojga dzieci, córka Urszula, nadal pod skrzydłami rodziców ale już w Stanach Zjednoczonych zda maturę z wyróżnieniem i studiując w prestiżowym Temple University Filadelfia robi tam dyplom architekta.

Na status rezydenta w Doylestown zdecydował się Duda w roku 1979, żonę i córkę sprowadził z Wieliczki do siebie w następnym, jednak Ameryka stanęła przed nim otworem już na kilka lat wcześniej, stamtąd bowiem nadeszły zamówienia tak poważne, że odrzucenie ich mogłoby oznaczać lęk i niewiarę we własne siły twórcze. Toteż wyzwanie rzucone mu w połowie lat siedemdziesiątych przez los, artysta podjął z namysłem ale skwapliwie. Nie wiem czy dla niego – trudno wnikać w tajniki duszy ludzkiej, a poza tym myśli człowieka sztuki krążące wokół każdego następnego dzieła zazwyczaj odznaczają się siłą żywiołów morskich i wtedy miejsce jego realizacji często schodzi na plan drugi, jeśli in ogóle się liczy – nie wiem więc czy dla niego akurat, lecz na pewno dla wielu, bardzo wielu innych Ameryka to Eldorado, Utopia, Eden, kraina z kolorowych marzeń i snów, gdzie, przyjmując względność czasu i zawrotność karier, uliczny pacybut prawie że z dnia na dzień zostaje milionerem, prosty drwal – prezydentem, a wynędzniały włóczęga – posiadaczem Doliny Księżycowej. Powiecie: te ogromne niespodzianki to już piosenka przeszłości. Być może. I chyba dlatego pewna dziewczyna o blond włosach z kraju

nad Wisłą i Odrą – cóż z tego, że wykształcona, ale bez grosza przy duszy – przemieniła się tam z Kopciuszka w królową z bajki, by ten zdawało się już wypalony i pusty mit, jeden z owych wielkich mitów amerykańskich, na nowo wypełnić żywą treścią. Lecz te tak niedawne jeszcze osobiste perypetie Barbary Piaseckiej, jej miłość i małżeństwo z Sewardem Johnsonem, spadkobiercą, a w chwili śmierci testatorem bajecznej fortuny – znacie. Swego czasu cała ta niezwykła historia sensacją przeleciała przez łamy prasy światowej, a kropkę nad i postawiła Barbara Goldsmith swoim reportażem książkowym „Johnson v. Johnson”, który w roku 1992 ukazał się w Polsce pod zmienionym tytułem „Fortuna Johnsonów”. Autorka tego bestselleru m.in. przytacza widome oznaki ogromnego bogactwa owego potentata farmaceutycznego, które w momencie ich ślubu – zagwarantowane w kontrakcie przedmałżeńskim – stało się udziałem Barbary Piaseckiej. A specjalnie już dla niej zakochany po uszy Seward zakupił rezydencję we Włoszech, i drugą rezydencję w pobliżu ich Instytutu Oceanograficznego „Harbor Branch” na Florydzie, dla niej nabył na wyłączną własność piękną wyspę w archipelagu Bahama, a drogie samochody, jacht pełnomorski i prywatny samolot odrzutowy były stale do jej dyspozycji. Dla niej też zdecydował się na wybudowanie w latach 1974 – 78 najdroższej w Ameryce rezydencji, której Barbara, wiedzona jakimś historyczno – literackimi sentymentami skojarzonymi z miejscem usytuowania nowej luksusowej siedziby, nadała nazwę Jasna Polana. Wzniesiony w Princetown zespół pałacowy obejmuje budynki mieszkalne, osobno kaplicę, schron przeciwatomowy, korty tenisowe, dwa baseny: widokowy i pływacki o wymiarach olimpijskich, otoczony antycznymi rzezbami, ogrody, w tym włoski, gdzie wysmukłe cyprysy strzelają prosto w niebo i cieplarnię pełną oszałamiających orchidei. I jeszcze to, co było i jest nadal oczkiem w głowie Piaseckiej – Johnson: galerię sztuki zawierającą rzeźby antyczne i renesansowe, zabytkowe meble, oraz niezwykle cenną kolekcję płócien, zwłaszcza starych mistrzów, lecz w której nie brakuje Van Gogha, Gauguina, Cezanne’a czy Moneta. To nie wszystko, sądzę jednak, że wystarczy dla krótkiego zobrazowania pozycji osoby, do której los uśmiechnął się w stylu prawdziwie amerykańskim. O ten wielki mit zahaczył swoim życiorysem artystycznym Józef Duda.

Józef Duda zaprojektował, opisany w „Fortunie Johnsonów”, zbudowany z 4200 kawałków drewna, oryginalny, ośmiokątny pokój śniadaniowy zwany też gabinetem śniadaniowym, cały przeszklony i z widokiem na ogród i basen. Również na zlecenie Johnsonów dekorował ich rezydencję na Florydzie. Wykonał tam serię płaskorzeźbionych w metalu drzew o uproszczonych kształtach, jakby wyjętych z baśni naszego dzieciństwa. W latach 1987 – 99 pełnił w Jasnej Polanie funkcję głównego konserwatora dzieł sztuki, po czym – a było to przed kilku miesiącami – przeszedł na

emeryturę. Równocześnie przez te wszystkie prawie lata spędzone do chwili obecnej w Ameryce pracuje nad dziełem swego życia, nad wystrojem Sanktuarium Czarnej Madonny w Doylestown. Projektuje tu lampę wieczną w kościele, posadzki, ławy, witraż na wieży, fotel celebranta, wały, kaplicę klasztorną i kaplicę św. Anny. Wiele wysiłku i czasu kosztowała go praca koncepcyjna związana z projektem drzwi frontowych złożonych z 16 obrazów. Połowa z nich dotyczy historii powstania obrazu Czarnej Madonny, przekazania go paulinom na Jasnej Górze na przechowanie, koronacja Matki Boskiej Częstochowskiej, ślubów króla Kazimierza Jagiellończyka; pozostałych osiem mówi o powstaniu Amerykańskiej Częstochowy i jej dziejach.

Niedawno drzwi zostały odlane w brązie, a poświęcenie ich odbyło się 29 sierpnia br. Tu też, a może tu szczególnie niepokoi go owa wizja Orła Białego. Oczywiście w bogatej anegdocie, jaką artysta wyrzeźbił na drzwiach, nie mogło zabraknąć tego symbolu. Ale co ciekawe, w niższej partii ołtarza św. Anny umieścił on dwie pełne rzeźby orła, które razem z dwoma aniołami unoszącymi się w górze tworzą przejrzystą scenę adoracji. Przy pracach w tej kaplicy sekundowali mu obaj synowie: Eligiusz stworzył wizerunek św. Anny, Jerzy kuł w miedzi ramę do tego obrazu w roku 1997, kiedy bawili w Ameryce z odwiedzinami u rodziców. Lecz i odwrotnie, Józef Duda też co parę lat zjawia się w Wieliczce. Łączy go z tym miastem sentyment, więzy rodzinne i sprawy natury artystycznej. Wreszcie tu jest jego dom, w którym powstało tyle dzieł, i tu jest osobno wystawiona przez niego pracownia, której nie zdołał, jak dotąd, w pełni wykorzystać. Ostatnią pracą, jaką artysta wykonał przed dwoma laty dla Wieliczki i częściowo w Wieliczce jest mierząca 85 cm., srebrna złożona, zdobiona turkusem i kryształem monstrancja zamówiona przez o. Ludwika Kurowskiego do Kościoła Franciszkanów – Reformatów.

Owszem, nie znajdziemy u Dudy buntu przeciwko uświęconym kanonom sztuki, ale też mieści się on w chlubnej tradycji, której podstawy sformułował przed wiekami św. Tomasz. Genialny Akwinata wyłożył swój pogląd na estetykę, na istotę konstrukcji i postrzegania piękna w następujących słowach: „Piękno wymaga spełnienia trzech warunków: pierwszym jest pełna pełnia, czyli doskonałość rzeczy, to bowiem, co ma braki, jest już przez to samo brzydkie; drugim jest właściwa proporcja, czyli harmonia; trzecim zaś blask, dlatego też rzeczy, które mają błyszczącą barwę nazywane są pięknymi”. Kiedy zetkniecie się z twórczością Józefa Dudy, przypomnijcie sobie powyższe słowa pochodzące z „Summy Teologicznej”. Pod koniec swego życia powrócił do Wieliczki, gdzie zmarł 20 grudnia 2013 roku.

Władysław Żołubak

BŁOGOSŁAWIENI MICHALICI Z PAWLIKOWIC BŁOGOSŁAWIENI WŁADYSŁAW I WOJCIECH ODDALI ŻYCIE ZA OJCZYZNĘ I DLA PODOPIECZNYCH

Świadectwa męczenników spotykamy nieustannie od czasu narodzenia Chrystusa. Wśród 108. beatyfikowanych męczenników II wojny światowej, którzy swoje życie poświęcili wychowaniu dzieci i młodzieży, znaleźli się dwaj kapłani ze Zgromadzenia Świętego Michała Archaniola.

Oto ich sylwetki:

Błogosławiony Ksiądz Władysław Błądziński (1908-1944)

Władysław Błądziński urodził się 6 stycznia 1908 roku w Myślatyczach (dziś zachodnia Ukraina). Wychowywany w religijnej atmosferze od najmłodszych lat uczestniczył w życiu miejscowego Kościoła służąc do Mszy Świętej. W 1919r. Matka oddaje go do Zakładu wychowawczego dla sierot i opuszczonych chłopców w Miejsu Piastowym. W zakładzie, prowadzonym przez Towarzystwo „Powściągliwość i praca”, założonym przez księdza Bronisława Markiewicza ukończył kolejne klasy szkoły powszechnej i rozpoczął naukę krawiectwa. Kolejne lata nauki to przygotowujące kandydatów do kapłaństwa Gimnazjum w Pawlikowicach koło Wieliczki, gdzie po ukończeniu V klasy zostaje przyjęty do nowicjatu, by pod kierunkiem księdza Władysława Janowicza przygotować się do życia zakonnego i pracy z młodzieżą. Po złożeniu wieczystej profesji jako ekstern zdaje maturę w Gimnazjum im. Jana Matejki w Wieliczce. Równocześnie pracuje w Zakładzie Wychowawczym im. św. Józefa w Krakowie. Uczy także w Prywatnym Gimnazjum Męskim w Pawlikowicach.

26 czerwca 1938 roku, po ukończeniu studiów filozoficzno-teologicznych zostaje wyświęcony na kapłana. Jako nauczyciel a później dyrektor Gimnazjum Ogólnokształcącego im. Księdza B. Markiewicza i Szkoły Zawodowej w Pawlikowicach uczy łaciny, fizyki i chemii. Wykonywał wszelkie posługi duszpasterskie. Prowadził chór, próby z orkiestrą, fotografował. Po wybuchu II wojny światowej władze okupacyjne zamykają szkoły świeckie, w tym i pawlikowickie gimnazjum. W roku 1940/41 ksiądz Błądziński wraz z trzema księżmi i czterema profesorami świeckimi prowadzi tajne nauczanie, z którego korzysta około 60 uczniów. 21 kwietnia 1941 roku w Zakładzie odbywa się rewizja i śledztwo. Niemcy plombują sale i mieszkanie dyrektora. Na okoliczność tajnego nauczania profesorowie są przesłuchiwani w więzieniu na Montelupich w Krakowie. Nie przyznają się. Po odważnej obronie Zakładu przez księdza Błądzińskiego wszyscy zostają zwolnieni. W jesieni, z większą ostrożnością, wznowiono naukę.



Aby zniszczyć „ostoję patriotyzmu” w Pawlikowicach, Niemcy przysyłają do placówki chłopaków z Krakowa, wśród których jest zdrajca. Donosi o działającej szkole, o filmach, tajnych gazetkach, słuchaniu radia. 24 kwietnia 1944 roku do Pawlikowic przyjeżdża gestapo. Trwają przesłuchania. Z Wieliczki, mimo ostrzeżeń, wraca ksiądz Władysław Błądziński. Wraz z innymi księżmi wysłuchuje aktu oskarżenia: „Zakład daje schronienie zbiegom z obozów, ukrywa broń, drukuje gazetki i prowadzi tajne nauczanie”. Księży osadzono na Montelupich. Dyrektor zostaje skazany na śmierć i wywieziony do NIEMIECKIEGO OBOZU KONCENTRACYJNEGO GROSS-ROSEN, gdzie przebywających tam Księży traktowano jak więźniów politycznych. Obowiązywał zakaz prowadzeniu posług kapłańskich. Każdemu przejawowi pobożności towarzyszyły wyzwiska i maltretowanie więźniów. *NADANO MU TAM NUMER 58471*. „Ksiądz Błądziński pracował w kamieniołomie, nosił głązy. Pod ciężarem jednego z nich upadł. Esesman skopał Go i zepchnął w skalistą przepaść. Kapłan zginął” - tak o Jego śmierci (*PRAWDOPODOBNIIE 8 WRZEŚNIA 1944 R.*) mówił naoczny świadek, pochodzący z Koźmic Wielkich, więzień Gross Rosen, Karol Mitan. Choć nie zachowały się doczesne szczątki Księdza Władysława Błądzińskiego, pamięć o nim żyje wśród Michalitów, wychowanków, mieszkańców Pawlikowic i okolicy. Bowiem Bóg i Ojczyzna były ideą przewodnią jego życia, którą starał się wpajać wychowywanej i kształtowanej w Pawlikowicach młodzieży. Dzięki Jego postawie w czasie okupacji Zakład był ostoją polskości, gdzie młodzież wychowywano w duchu patriotyzmu, ucząc miłości Ojczyzny, pracy i poświęcenia.



Błogosławiony Ksiądz Wojciech Nierychlewski (1903-1942)

Z Pawlikowicami łączy się także postać Księdza Wojciecha Nierychlewskiego. Urodzony 20 kwietnia 1903 roku w Dąbrowicach niedaleko Kutna dorastał w atmosferze miłości, pracowitości i chrześcijańskiej jedności. Tu ukończył szkołę powszechną. Naukę kontynuował w gimnazjum we Włocławku. Po tajemniczym nocnym zmaganiu z czarnym zakonnikiem postanowił pielgrzymować do Częstochowy, gdzie przed obrazem Jasnogórskiej Matki upewnił się o swoim powołaniu. Dopiero po upływie miesiąca listownie powiadomił rodzinę o postanowieniu zostania księdzem. List ten wysłał z Pawlikowic, wsi koło Wieliczki, gdzie w Domu Zakonnym Zgromadzenia św. Michała Archaniola 30 lipca 1923 roku Wojciech rozpoczął postulat, by zostać przyjętym do nowicjatu. „Być Michalitą oznacza wysławiać Boga każdą chwilą i całym swoim życiem” - regule tej podporządkował się bez reszty. Z pracy – szczególnie tej, którą zajmują się Michalici: wychowaniu dzieci i opuszczonej młodzieży. Po złożeniu ślubów zakonnych wysłano go do Miejsca

Piastowego. Tam kontynuował naukę oraz pracował jako wychowawca. W 1927 roku złożył śluby wieczyste, a w roku następnym rozpoczął studia na wydziale teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. 20 lipca 1932 roku otrzymał święcenia kapłańskie, przez rok pracował z młodzieżą w Zakładzie prowadzonym przez Michalitów w Krakowie. Później zostaje prefektem w Domu Zakonnym w Miejsu Piastowym. Powagą, energią i pogodą ducha zjednuje sobie szacunek i uznanie wychowanków i pracowników. Po intensywnej, wyczerpującej pracy wyjechał na odpoczynek do Beresztowa, skąd powrócił tu, gdzie rozpoczął kapłańską służbę – do Pawlikowic. Tu do połowy 1937r. katechizował dzieci i młodzież w szkole powszechnej, zawodowej i gimnazjum. Stąd przełożeni skierowali go do pracy w krakowskiej drukarni „Powściągliwość i praca”. Wkrótce został jej kierownikiem, Unowocześnił i rozbudował ją. Przyczynił się do poprawy bytu pracowników. Ale i nie zapomniał o Pawlikowicach. Co kwartał przyjeżdżał tu, by spowiadać nowicjuszy. Po wybuchu wojny nie zaprzestał swej posługi kapłana, zakonnika i drukarza. Kiedy gestapo aresztowało (po donosie) kierownika technicznego drukarni Michała Paślowskiego, Ksiądz Wojciech Nierychlewski, aby ratować ojca rodziny, wziął na siebie całą odpowiedzialność. Paślowski uniknął śmierci. Księdza osadzono w Krakowie na Montelupich, skąd przewieziono Go do obozu zagłady w Auschwitz, oznaczając numerem 25468 i trójkątem z czerwoną literą „P”. 9 lutego 1942r. rodzina otrzymała pismem wiadomość, iż Wojciech Nierychlewski zmarł na zapalenie płuc 7 lutego 1942 roku. Najprawdopodobniej po „kąpielach”: po ciężkiej pracy więźniów polewano zimną wodą, goniono po placu, nago, po śniegu i na mrozie.

Kazimierz Tymiński, współwięzień, tak wspomina krótki pobyt Księdza Wojciecha w obozie: „ (...) świadczył współwięźniom usługi (...) i śpieszył im z pomocą duchową (...), budził szacunek swą postawą pełną spokoju, rozmodleniem i ofiarnością”.

13 czerwca 1999r. Papież Jan Paweł II wyniósł do chwały ołtarzy w Warszawie wśród 108 męczenników za wiarę, także i tych dwóch księży Michalitów: Księdza Władysława Błądzińskiego i Księdza Wojciecha Nierychlewskiego, „żywych świadków umiłowania opuszczonego dziecka i służenia mu aż po śmierć męczeńską”.

Barbara Panuś

Bibliografia:

- Wisn A. ks. Tragiczne dzieje OO. Michalitów, w: Za i Przeciw, nr 48(557), 26.XI.1967
- Kochali młodzież, zginęli za wiarę. Oprac. pod red. ks. Edwarda Daty CSMA
- Paż M.. Służyli dobrej sprawie. Księża Michalici w czasie okupacji niemieckiej, w: Za i Przeciw, nr 38(1121) 17.IX.1978



BOHATERKI WRZEŚNI MIESZKAŁY W WIELICZCE

Nepomucena Piasecka. Jej troje dzieci: Janek, Józia i Kazek było bohaterami znanych wydarzeń we Wrześni w zaborze pruskim 1901 roku. Piasecka wraz z córką Józefą Kosikową i jej dziećmi mieszkali w okresie międzywojennym przez pewien czas w Wieliczce.

Ze względu na ogrom materiału rozmaite podręczniki i kompendia wiedzy historycznej, szczegóły, barwę i temperaturę codziennej egzystencji w minionych czasach najczęściej pozostawiają wyobraźni i dociekliwości czytelnika. To jednak, co wydarzyło się we Wrześni w 1901 roku i natychmiast urosło do rangi symbolu, z biegiem lat trafiło zarówno do syntetycznych opracowań naszych dziejów ojczy-
stych, jak i na karty podręczników.

Oto w zaborze pruskim, aby odebrać Polakom pamięć historyczną i kulturo-
wą, władze tamtejsze przypuściły bezprzykładny atak na język polski, kultywowany tam pieczołowicie w obydwu jego formach: mowie i piśmie. Przy czym polityka ta odznaczała się subtelnością maczugi i finezją tarana. Zwłaszcza, kiedy na prze-
łomie XIX i XX wieku niemieccy nacjonaści podnieśli głowę, a urząd kanclerza objął Bernhard von Bülow, zwolennik i realizator całkowitego zmiażdżenia polsko-
ści. Polaków bowiem uznano za największą wewnętrzną przeszkodę na drodze do osiągnięcia przez Cesarstwo Niemieckie pozycji hegemonu światowej rangi. Czym się to wszystko zakończyło wiemy dokładnie: ludzkość przeżyła krwawy wstrząs Wielkiej Wojny, państwo kajzerowskie upadło, zmiany polityczne objęły nie tylko Europę, a odrodzona Rzeczpospolita organizowała swoją młodą wolność.

Lecz w czasach niewoli 1772 – 1918, które nas tu zajmują, niemiecki skrajny nacjonalizm i tendencje imperialne były groźnym i niebezpiecznym elementem powszedniej rzeczywistości. W takich okolicznościach każdy polski dom stano-
wił twierdzę, a konflikty z władzą zaborczą iskrzyły tuż za progiem. Życie więc było trudne, nieustannie wymagało aktów tego rodzaju odwagi, które składały się na uparte trwanie przy Macierzy. A zarządzenia antypolskie sypały się jak z rękawa. Całą tę wzmożoną akcję germanizacyjną rozpoczęto od formalnego odzierania Polaków z ich przynależności narodowej. Okazję po temu dawały spi-
sy ludności: w oficjalnych statystykach pojawiły się nagle takie sztuczne twory, jak „narodowość mazurska” i „narodowość kaszubska”. A także „dwujęzyczni”, to znaczy ci, co według owej fałszywej nomenklatury statystycznej, Niemcami jeszcze nie byli, ale Polakami być już przestali. Dalej: zgermanizowano niemal

cały aparat administracyjny; urzędnicy wyróżniający się szczególnie wrogim nastawieniem do polskości otrzymywali specjalny, 10-cio procentowy dodatek do pensji. Zdwojono czujność policyjną, zaostrzono cenzurę prasy polskiej, inwigilacji zaś, szczególnie nadzorowi i ograniczeniom poddano polskie organizacje społeczne, gospodarcze, zawodowe – obrady można było prowadzić wyłącznie po niemiecku. Intensywności nabrało także germanizowanie nazwisk i nazw geograficznych. Polskie szyldy sklepowe i inne tablice o charakterze reklamowym czy informacyjnym zostały zastąpione niemieckimi albo zlikwidowane. W szowinistycznym zaślepieniu nie darowano nawet nieboszczykom; upiornym zarządzeniem nakazano usunięcie polskich napisów z nagrobków cmentarnych.

A szkoły? Zwłaszcza szkoły ludowe? Z tych język Kochanowskiego i Mickiewicza zaborca już dawno wypędził. Jedynym przedmiotem, gdzie pozostał on jako wykładowy była religia. Teraz, na samym progu XX wieku, i prawdy wiary, i modlitwa miały w szkolnych murach rozbrzmiewać wyłącznie po niemiecku. Ale tego było nawet dzieciom za wiele. Wychowane przez dom rodzinny i Kościół w duchu polskości stawiały opór. Na wszelkie pytania nauczycieli solidarnie odpowiadały w języku ojczystym względnie milczeniem. Tak doszło do znanych wydarzeń we Wrześni, w maju 1901 roku. Odmowę wykonania przez uczniów tamtejszej szkoły zarządzenia pruskich władz oświatowych, jej pedagodzy uznali za złamanie prawa i szczególną zuchwałość. Rozegrały się brutalne sceny. Budynek zamknięto na trzy spusty i rośli nauczyciele, dwóch Niemców i jeden polski renegat, obłożyli małych buntowników dotkliwą chłostą do krwi. Nepomucena Piasecka, której troje dzieci, Janek, Józia i Kazek, znajdowało się w środku, na odgłos płaczu i rozpaczliwych krzyków zrobiła alarm, przybiegli inni rodzice, wybuchła awantura. Nazajutrz dzieci zostały w domu, zamiast nich do szkoły poszli rodzice. Temperatura zebrania była wysoka. I tu znów Piasecka wyrzucała nauczycielom ich niegodziwość, a władzy zaborczej przepowiadała rychły koniec. Interweniowała policja. Dzieci dostały już za swoje, teraz przyszła kolej na dorosłych. Grupę rodziców postawiono przed sądem. Rozprawa odbyła się w Gnieźnie. Wyroki, jakie tam zapadły, były nad wyraz surowe. Piasecka uznana za jedną z głównych oskarżonych otrzymała karę dwóch i pół lat więzienia. Dla kogoś takiego jak ona, kobiety spracowanej i już nie młodej, liczącej około czterdziestu lat matki czworga dzieci, wyrok ten okazał się ciosem ponad jej wątłe siły. I kiedy zazgrzytały za nią ciężkie żelazne bramy pruskich kazamatów zapadła na zdrowiu. Tymczasem sprawa katowania dzieci i ze wszech miar ponurego procesu obiegła świat. Poruszona do głębi tymi wypadkami międzynarodowa opinia publiczna wystąpiła z gwałtownym i zdecydowanym potępieniem władz niemieckich za

ów barbarzyński stosunek do zniewolonego narodu. Nie na wiele się to zdało. Prusacy nie cofnęli żadnego ze swych zarządzeń, wręcz odwrotnie, odtąd jeszcze większa furia kierowała ich germanizacyjnymi praktykami. A o skasowaniu czy znacznym skróceniu kary dla Piaseckiej ani pomyślano. Jedynym ustępstwem wobec więźniarki, osłabionej, dotkniętej wysoką gorączką i krwotokami z ust, było udzielenie jej urlopu dla poratowania zdrowia, by w oznaczonym terminie mogła już w pełni sił odbyć resztę wyroku. O tym, jak wysoką cenę zapłaciła za swoją budującą patriotyczną postawę świadczą jej dalsze losy i losy jej rodziny. Na razie korzystając z chwilowej wolności, ograniczonej tylko nadzorem policyjnym, opuściła potajemnie Wrześnię, a następnie granice Cesarstwa Niemieckiego. W tej ucieczce, której celem był odległy Lwów, gdzie zresztą szczęśliwie dotarła, sekretnie ją wspomagali Polacy obydwu zaborów: pruskiego i austriackiego. Niebawem w podobny sposób dołączył do niej mąż z dziećmi. Pierwsze ich lwowskie lata nie zapowiadały materialnej katastrofy. Ludne miasto będące siedzibą władz autonomicznych Galicji rozwijało się prężnie i Piasecki, fachowiec budowlany, nie narzekał na brak zajęcia.

Poza tym poznański Komitet pomocy ofiarom Wrześni nadesłał przez emisariusza pewną kwotę pieniężną, a kilka prywatnych osób dołożyło swoje. Żyli więc co prawda niebogato, ale – mimo, że przybyło jeszcze dwoje dzieci – chleba wystarczało dla wszystkich. Gdy oto, fatalnym zrzędzeniem losu, ojciec rodziny i jedyny jej żywiciel uległ w pracy wypadkowi, wskutek czego został ciężkim kaleką. Do domu wkradła się bieda i miała już nie opuścić Piaseckiej aż do końca. Tych ciosów było więcej: młodsza córka, Seweryna, zmarła, Kazimierz zaginął gdzieś bez wieści, reszta dzieci poszła w rozsypkę. Przez pewien czas zdawało się, że chociaż Józefie los okazał swoją przychylność. Wyszła mianowicie za mąż za stolarza Kosika, dobrego fachowca i człowieka zaradnego życiowo. Schorowanego ojca wziął do siebie, do Mątów koło Inowrocławia najstarszy syn Janek, matkę przyjął pod swój dach Józefa. Ale wędrówki za chlebem najwidoczniej były wpisane w ich życiorysy. Z pewnego dokumentu, który ostatnio wpadł mi w ręce, wynika niezbicie, że opuściwszy Lwów Piasecka z Kosikami przybyli do Krakowa i zamieszkali na obrzeżach miasta. Tu w roku 1912 przyszło na świat jedno z pięciorga dzieci Józefy, Maksymilian, później uczeń Szkoły Podstawowej nr 2 im. Tadeusza Kościuszki w Wieliczce. Kiedy te dwie bohaterki Wrześni, matka i córka wraz z pozostałą rodziną dotarły do Wieliczki, i jak tu żyły – było dla mnie zagadką. Pomocny w częściowym wyjaśnieniu tej sprawy okazał się pan Mirosław Węglowski, wielicki zbieracz i kolekcjoner, który udostępnił mi archiwalne roczniki tygodnika „Dzwon Niedzielný”.

Otóż po tym, jak w Krakowie ukazała się notatka prasowa o Piaseckiej, Karol Koniński, katolicki myśliciel, pisarz, publicysta i krytyk literacki zwrócił się listownie do nauczyciela Ludwika Młynka, który pracował w wielickim gimnazjum z prośbą o odzyskanie jej i sprawdzenie czy jest to na pewno ta sama osoba, której imię weszło do panteonu bohaterów narodowych okresu niewoli. Młynek ją odszukał, zrobił wywiad, przeglądał dokumenty, zresztą przetrzebione z powodu wielokrotnych przeprowadzek i skomponował dwa artykuły – apele o pomoc materialną dla zmęczonej trudami życia kobiety, po czym przesłał je do „Dzwonu Niedzielnego”. Jeden ukazał się w roku 1927 (nr 19, s. 303, 304), drugi w roku 1928 (nr 43, s. 685) – obydwie pod jednakowym tytułem „Nepomucena Piasecka”. Efekt tych publikacji był nikły. Na jej konto wpłynęło do redakcji zaledwie 27 zł. Nadal cierpiała biedę, tym bardziej, że zięć, ów zaradny stolarz zmarł przed niedawnym czasem i troska o pięcioro drobiazgu spadła teraz na barki tych dwu nieszczęsnych kobiet. W arkuszu ocen Maksymiliana za rok szkolny 1927/28 (archiwum Szk. Podst. nr 2 im. T. Kościuszki), w rubryce „Nazwisko i imię, stan i miejsce zamieszkania ojca, matki lub opiekuna” jest wpis: „Kosikowa Józefa, wdowa po rękodzielniku, Lednica Niemiecka”. Początkowo więc mieszkali w Lednicy Niemieckiej u niejakiego Franciszka Kota (dzisiaj Wieliczka, ul. Kazimierza Pułaskiego 16), który trudnił się wynajmem swego domu różnym lokatorom. Piasecka z rodziną zajmowała tam jedno pomieszczenie. Obecna właścicielka tego domu pani Halina Zgudowa, wnuczka Fr. Kota, w rozmowie ze mną fakt ten potwierdziła.

Wczesną jesienią 1928 roku nasi protagoniści przenieśli się do samej Wieliczki, na Zadory, dzielnicy leżącej w północnej części miasta. Tu warunki mieszkaniowe były jeszcze gorsze, gnieźdźdźili się w jednej izbie starej zniszczonej chałupy. Ale bliskie sąsiedztwo pięknych nowoczesnych willi stwarzało możliwość posługi i skromnego zarobku. Być może pewną rolę odegrał tu również Klasztor Franciszkanów – Reformatów, który znajdował się nieopodal, a słynął z udzielania potrzebującym pomocy. Rzecz trudna do ustalenia, bo ani brat Alojzy Kosiba, człowiek świętobliwy, ani inni zakonnicy nigdy nie pytali nędzy o nazwisko. Jakiegokolwiek były dalsze losy Nepomuceny Piaseckiej uderza w tym wszystkim jedno: jej imię oderwane od żywej postaci zdobiło okolicznościowe artykuły, przywoływano je w trakcie rozmaitych uroczystości, przylgnęło nawet do pomnikowego granitu we Wrześni, na koniec stało się symbolem umiłowania własnej Ojczyzny i wiary przodków. W tym samym czasie Piasecka, człowiek z krwi i kości pędziła żywot jak anonim, o którym nie wiemy czy istniał naprawdę, czy tylko był zmyśleniem. Dedykując niniejszy tekst wszystkim, szczególnie polecam go serdecznej uwadze nauczycieli i uczniów.

Władysław Żołubak



JAKUB WAJDA ORAZ SYN ANDRZEJ WAJDA Z SZAROWA W ŚWIAT

Rodzina Wajdów wywodzi się z Szarowa (Gmina Kłaj), Jakub Wajda urodził się w Szarowie (1900 – 1940). Jego rodzina mieszkała tam od pokoleń. Wziął udział w kampanii wrześniowej. Trafił do niewoli radzieckiej, został ofiarą zbrodni katyńskiej. Andrzej Wajda (1926 - 2016), nagrodzony Oskarem i wieloma prestiżowymi nagrodami reżyser filmowy i teatralny, Ojciec Jakub, który był wojskowym, otrzymał przeniesienie do Suwałk. I to już tam urodził się 6 marca 1926r. Andrzej Wajda, ale z Szarowem był związany na tyle, że będąc u szczytu sławy, przyjechał tu w 2003r. na spotkanie z mieszkańcami. Filmy Andrzeja Wajdy odegrały wielką, patriotyczną rolę, dodawały umęczonemu polskiemu społeczeństwu siły i nadziei.

„To co przeczytasz w tej książce, Drogi Czytelniku opowiadałem już wielokrotnie moim przyjaciółom. Ulepszałem a przede wszystkim skracałem moje opowieści, ale niezależnie od reakcji z jaką się spotykały, starałem się unikać przekręcania faktów i zbytniego koloryzowania. Należę do pokolenia, które uczono, że nie wolno kłamać – nie wolno również zmyślać. Pewnie dlatego zostałem reżyserem” - pisze Andrzej Wajda w autobiografii „Kino i reszta świata”. Jako obrazy, które kształtowały jego wyobraźnię od najmłodszych lat, wymienia: obraz Anioła Stróża, znad łóżka; reprodukcje: „Lwowskie Orleńta” Wojciecha Kossaka i „Puszcze” Artura Grotgera. Kolekcję uzupełniają portrety Tadeusza Kościuszki i Józefa Piłsudskiego.

Pisze, że był normalnym, nieśmiałym dzieckiem. Matka drżała o jego życie od 1942 roku, kiedy to złożył przysięgę dowódcy AK. W Radomiu rozwijał pasję malarską. Wzrastał w tradycji wojskowej, honoru i obowiązku, tradycji szkolnych i Kościoła Katolickiego. Jego młodość naznaczyła II wojna światowa bardzo dotkliwie, i podobnie następny trudny czas dla Polski i Polaków. W 1942r. był przesłuchiwany w piwnicach krakowskiego UB z racji działalności w AK.

Pięknie wyraził swe przekonania o filmie, że żyje on „życiem motyla”, rzadko dłużej. W filmie „Kredyt i debet” dokonał rozrachunku życiowych zysków i strat podkreślając, że był szczęśliwy, w ciągłej akcji, w ruchu. „Realizować film po filmie – to dla mnie jedyna droga, by któryś z nich okazał się wartościowy – pisze w Autobiografii.

On sam z perspektywy czasu do swego rodzaju „strat” wliczył brak czasu na przyjrzenie się otaczającej go przyrodzie, ale i ludziom, zbyt powierzchowne traktowanie przyjacieli. „To zapewne wielka strata, którą trudno dzisiaj ocenić, pisze w Autobiografii. W rubrykę zysk, wpisał kilka filmów nie z uwagi na sławę, którą

zdobyły ale te, o których sam myślał dobrze. Ciosem dla niego było wprowadzenie 13 grudnia 1981r. stanu wojennego. Doświadczenia młodości w wolnej Polsce międzywojennej, koszmar II wojny światowej, czasu terroru komunistycznego ZSRR i PZPR, udział w działaniach o wolną Polskę były trudnym doświadczeniem dla każdego Polaka, a Andrzejowi Wajdzie ich dogłębne przeżycie i zrozumienie pozwoliło przenieść i uobecnić w wielu filmach tę trudną naszą historię, pokazaną przez piękno duszy, hartu, bohaterstwo, wiarę Polaków.

Dzieciństwo spędził w Suwałkach, dokąd przeniesiono jego ojca, mieszkającego w Szarowie, Jakuba Wajdę, porucznika, dowódcę plutonu artylerii pułkowej. Urodził się już w Suwałkach. W Szarowie mieszkali jego dziadkowie, kuzyni, znajomi rodziców. Oto fragment wypowiedzi Andrzeja Wajdy z filmu „Kredyt i debet” - „Moja rodzina pochodzi ze wsi Szarów. Niedaleko, kilka kilometrów od Szarowa, a na cmentarzu w Brzeziu leży mój dziad - Kazimierz Wayda, przez „y” jeszcze się piszący. To wiejskie pochodzenie wydaje mi się bardzo istotne, dlatego że z tej małej wsi, z tego miejsca, w tej rodzinie wyszło czterech młodych ludzi, z których wszyscy zostali inteligentami. A ponieważ stąd wyszedł mój ojciec, to ja jestem inteligentem ledwie w drugim pokoleniu. I myślę, że to była jakaś siła tych chłopców, którzy rzucili wszystko, co tu było, bo wiedzieli, że cała ich przyszłość jest przed nimi. Mój ojciec, mając szesnaście lat, poszedł do Legionów, potem został oficerem (wajda.pl)

Zachęcamy do przeczytania artykułu w marcowym wydaniu Panoramy Powiatu Wielickiego z 2002 roku: „Szarów. Reżyserskie Korzenie” Bartosza Bani.

Powracając do Suwałk, pisze, że widział na własne oczy odchodzący w niebyt, świat chwały Jazdy Polskiej. W naszej jubileuszowej książce należy z całym szacunkiem napisać też o Jakubie Wajda.

Był synem Kazimierza (syna Franciszka Waydy i Anny z Lisowskich z Cichawy) ożenił się z nauczycielką, Anielą z domu Białowąs, był ojcem reżysera, miał synów Andrzeja i Leszka.

Był członkiem Związku Strzeleckiego, żołnierzem Polskiego Korpusu Posiłkowego. W wieku 16 lat zaciągnął się do Legionów, w lutym 1918 jako żołnierz 2. Pułku Piechoty, został internowany w Huszt, a następnie wcielony do armii austriackiej. Zdezerterował i zgłosił się do 4. Pułku Piechoty Legionów. Brał udział w odsieczy Lwowa. Na froncie walczył do kwietnia 1919, następnie skierowany do batalionu zapasowego 4. pp Leg.

Maturę zdał w 1923r. W 1923r. awansował na podporucznika, a w 1924 do stopnia porucznika. Służył w Szefostwie Intendentury DOK X, od 1925 w 38. Pułku Piechoty, od 1926 w 44. Pułku Piechoty ([wikipedia.org/wiki/Jakub_Wajda](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jakub_Wajda)).

Ojciec Andrzeja Wajdy, Jakub, 18 września 1939r. jako dowódca kompanii wyruszył z Kowla wraz z grupą operacyjną pułkownika Leona Koca. Przekroczyli Bug, stoczyli kilka potyczek z Ukraińcami a później oddziałami niemieckimi - szczególnie w dużej bitwie z jednostkami zmotoryzowanymi pod Polichną, do zmroku a następnego dnia z kolumną czołgów radzieckich, które ich otoczyły. To fakty, i to, że oddał swe życie za Polskę zamordowany przez sowietów w Katyniu lub Miednoje, o czym Aniela Wajda dowiedziała się od Jerzego Ożminkowskiego, po latach poszukiwań i oczekiwania na powrót męża. „Kapitan Wajda płakał jak dziecko z rozpaczy, gdy pułkownik Koc odczytał rozkaz o kapitulacji” - opisywał żołnierz kampanii wrześniowej podkreślając, jak wspaniałym człowiekiem i dowódcą był Jakub Wajda. Sowiecki dowódca wyraził pretensję, że pułkownik Koc prowadził walkę przeciw jego czołgom. „Na argument, że chodzi o ziemie polskie odpowiedział: teraz my tu jesteśmy panami”. Prawda o Katyniu została ujawniona 13 kwietnia 1943r. „Od lat powraca do mnie wyzwanie: zrób film o Katyniu” - pisał Andrzej Wajda w autobiografii”.

Gdy rozpoczęła się wojna, miał 13 lat, jedyne jego ubranie wyjściowe uszyte było z przefarbowanego munduru galowego ojca. Mieszkał z mamą w Radomiu. Gdy radomskie gestapo aresztowało dowódców AK, ostrzeżony, zdołał jedynie powiadomić przez brata matkę i jak najszybciej pojechał pociągiem do Krakowa. Ukrywał się w domu wujostwa, u których pracował w warsztacie ślusarskim i z którego to zakładu wiele elementów wyposażenia znajduje się w Kościele w Brzeziu.

Po wojnie nastał czas PRL-u Andrzej Wajda zrobił małą maturę i chcąc spełnić marzenie udał się z Radomia do Krakowa, aby złożyć papiery na studia na ASP. Przybył tam do kolegi, gdzie trafił do „kotła” Urzędu Bezpieczeństwa, aresztowano wówczas kilkanaście osób. Z UB wykupił go wujek, Gustaw. ASP w Krakowie porzucił dla Szkoły Filmowej w Łodzi, czego nigdy do końca nie umiał wyjaśnić. Miał więcej przyjaciół wśród malarzy, niż filmowców.

Szkoła była pod pilnym nadzorem władz politycznych i komitetu wojewódzkiego w Łodzi, chcących przygotowania kadr dla utrwalania w świadomości polskiego społeczeństwa ideologii komunistycznej i przodującej roli Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRR). Kadre zaś stanowili filmowi amatorzy z przedwojennego STARTU, którzy otrzymawszy w 1945r. niepowtarzalną szansę, postanowili zbudować polski powojenny przemysł filmowy, i to się im udało w dużej mierze dzięki rektorowi Jerzemu Toeplitzowi. Później Andrzej Wajda prowadził Zespół Filmowy „X”. Bardzo mu pomagało doświadczenie zdobyte na ASP.

„Jakież więc mogło być inne zadanie dla polskiego artysty, jeżeli nie obnażanie ran i pokazywanie nieprawości, które narzucony nam system przyniósł do Polski” napisał w Autobiografii „obnażałem te rany z bólem, gdyż były to i moje cierpienia. „Kanał”, „Popiół i diament”, „Człowiek z marmuru” czy „Człowiek z żelaza” nie pokazywały tylko naszych słabości. Filmy te powstały z myślą o wielu odważnych i prawych Polakach, którzy nie pogodzili się z losem, jaki ich krajowi zgutowała obojętność Europy. Polakach, którzy potrafili nie tylko ginąć za swoją Ojczyznę, ale również tworzyć jej przyszłe życie. Upadek berlińskiego muru był w moim długim życiu chwilą najpiękniejszą a odzyskanie niepodległości przez Polskę – uwolnieniem od obowiązku, jaki na siebie wziąłem. (...) Polska jest dziś krajem niepodległym, za którego przyszłość odpowiedzialni są tylko sami Polacy – podkreślił Andrzej Wajda. Powyższe filmy znalazły się na liście wycofanych i zabronionych w czasie stanu wojennego.

Niezwykłą rolę swego życia odegrał 12 grudnia 1988 roku, gdy przekroczywszy po raz pierwszy próg siedziby Sekretariatu Episkopatu Polski przy skwerze Kardynała Wyszyńskiego, znalazł się w gronie kilku osób, które miały misję przygotowania reprezentującego Solidarność Lecha Wałęsy do transmitowanej na żywo jego dyskusji telewizyjnej z Alfredem Miodowiczem, reprezentującym stronę partyjno-rządową.

Pierwszy film Andrzeja Wajdy powstał w 1951 roku, to etiuda szkolna „Ceramika Łżecka”. Do najbardziej znanych i cenionych filmów zaliczane są „Pokolenie”, „Kanał”, „Popiół i diament”, „Lotna”, „Popioły”, „Brzezina”, „Wesele”, „Ziemia obiecana”, „Człowiek z marmuru”, „Panny z Wilka”, „Człowiek z żelaza”, „Danton”, „Korczak”, „Pierścioneł z Orłem w Koronie”, „Pan Tadeusz”, „Zemsta”, „Katyń”. Reżyserował także spektakle teatralne.

Filmy Andrzeja Wajdy odegrały wielką, patriotyczną rolę, dodawały umęczonemu polskiemu społeczeństwu siły i nadziei. Ukazywały też bardzo trudną sytuację Polski za granicą. Film „Człowiek z marmuru” (1976r.) przez szereg niespodziewanych zwrotów akcji, trafił do zainteresowanego nim francuskiego dystrybutora i później, jako „film niespodzianka” czyli film zaproponowany przez organizatora festiwalu w Cannes w 1978 roku poza konkursem, na pokaz którego publiczność przychodziła nie wiedząc, co zobaczy i nikt nie ujawniał wcześniej żadnych informacji, zdobył jednogłośnie nagrodę dziennikarzy Fipresci. Stamtąd film trafił do wielu dystrybutorów, „zdołał zachód”. W Polsce władze komunistyczne zakazały przyznawania filmowi jakichkolwiek nagród.

„Ziemia obiecana”, „Panny z Wilka”, „Człowiek z żelaza” (Grand Prix „Złota Palma” w Cannes, 1981r.) oraz „Katyń” otrzymały nominacje do Oscara w kate-

gorii najlepszy film obcojęzyczny. W 2000 roku Andrzej Wajda otrzymał od amerykańskiej Akademii Filmowej za całokształt twórczości honorowego Oscara. Powiedział wówczas: „Ladies and Gentlemen. Będę mówił po polsku, bo chcę powiedzieć to, co myślę, a myślę zawsze po polsku. Przyjmuję tę zaszczytną nagrodę jako wyraz uznania, nie tylko dla mnie, ale dla całego polskiego kina. Tematem wielu naszych filmów były okrucieństwa nazizmu, nieszczęścia, jakie niesie komunizm. Dlatego teraz chcę podziękować amerykańskim przyjaciołom Polski i moim rodakom, którym kraj nasz zawdzięcza powrót do rodziny demokratycznych narodów, do zachodniej cywilizacji i instytucji i struktur bezpieczeństwa. Gorąco pragnę, aby jedynym ogniem, którego doświadcza człowiek, był ogień wielkich uczuć – miłości, wdzięczności i solidarności.”

Oprócz doświadczeń życia osobistego oraz związanych z twórczością filmową i teatralną Andrzej Wajda przeżywał bardzo trudne sytuacje, szczególnie w czasie komunistycznego czasu w Polsce: wtedy w PRL czyli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Kiedy w czasie studiów na ASP w Krakowie zapisał się do Polskiej Partii Robotniczej, ta przestała istnieć, połączyła się z PPS i powstała w 1948r. PZPR. Legitymacji nie dostał. W późniejszym czasie, gdy zaczęły powstawać filmy o wydźwięku patriotycznym, był podsłuchiwany, prowokowany, rewidowany, otoczony agentami (dwudziestu dwoma tajnymi współpracownikami) i stałym dozorem jakim otaczano największych opozycjonistów, od lat 70. XX wieku. Otrzymał kryptonim „Luminarz”. On wypowiadał się poprzez swoją twórczość, swe filmy. Ten czas opisany jest w książce Witolda Beresia i Krzysztofa Burnetko „Andrzej Wajda podejrzany”. W Instytucie Pamięci Narodowej zachowanych jest dotyczących go, ponad tysiąc stron dokumentów politycznej policji PRL. Andrzej Wajda został wybrany w 1989 roku senatorem RP. Książka „Luminarz”, jest dwa razy grubsza, niż „Autobiografia” Andrzeja Wajdy. Zachęcam do przeczytania obydwu książek a też i wielu innych publikacji, także internetowych. Najstarsze akta IPN pochodzą z 1950 roku, ostatnie z 1989 roku. Andrzej Wajda zmarł 9 października 2016 roku.

Barbara Zapadlińska



SZCZĘSNY BOCZKOWSKI **LEKARZ GODNY POMNIKA**

Szczesny Boczkowski (1804 – 1855), ur. w Mikuszowicach, zm. w Wieliczce. Miejsce pochówku nieznane, prawdopodobnie jako zarażony od pacjenta, spoczął na nieistniejącym dziś cmentarzu cholerycznym. Lekarz, twórca domu zdrojowego i uzdrowiska, autor pierwszej monografii Wieliczki. Mieszkał przy szpitalu, którym kierował, na ulicy Sandrowskiej, obecnie Bolesława Limanowskiego.

Idzie tu oczywiście o Feliksa. Polska wersja tego imienia zastosowana w tytule jest zamierzoną z mojej strony prowokacją wobec tych autorów, którzy nie zdobywszy głębszej wiedzy o tej wybitnej postaci, chwytają za pióro. I którzy skrzętnie skrywając źródła swych niewczesnych natchnień bawią się, nadzwyczaj zresztą nieudolnie, w kopistów cudzej myśli i formy, w jaką ta myśl została ubrana. Owo z pozoru tylko wierne naśladownictwo, bo aż lepsze od płodów bezbrzeżnej ignorancji – pokażny rejestr niedorzecznych sformułowań, dziwacznych obliczeń, błędów rzeczowych i w datowaniu, itp., gotów jestem w każdej chwili przedłożyć zainteresowanym – nie pozwoliło tym nieszczęsnym autorom ani o milimetr, nawet w aureoli swego grafomaństwa, wychnąć poza wzorzec jaki im przyświecał. Czyli poza to, co swego czasu o Boczkowskim ustalił Mieczysław Skulimowski (1930 – 1982), lekarz, prof. AM w Krakowie, historyk medycyny, i podał w artykule naukowym „Tradycje uzdrowiskowe kopalni soli w Wieliczce” („Studia i materiały do dziejów żup solnych w Polsce”, t.I., Wieliczka 1965, s.278 – 281). Skulimowski wszakże, zgodnie z własnymi zainteresowaniami, opisał tylko tę stronę działalności Boczkowskiego, która pozostawała w bezpośrednim i częściej pośrednim związku z balneologią solankową. Natomiast całą resztę, a jest tego nadspodziewanie dużo, oddał biografom do ich dyspozycji i badawczej dociekliwości. Ci jednak zawiedli na całej linii. Do dziś bowiem nie ukazał się żaden artykuł, szkic czy esej, o pozycji książkowej już nie wspominając, mający za temat całokształt życia i dzieła naszego protagonisty. Słowem nie doczekał się Boczkowski ani jednej rzetelnej publikacji typu biograficznego, na jaką bezwzględnie zasłużył. A to uważam za skandal. Nie doczekał się pomimo, że w czasach nam współczesnych jego imię przeżywa, chociaż w nieco innym wymiarze, pewien renesans swej dawnej popularności. Jesteśmy więc świadkami zdumiewająco nieprawdopodobnej historii: Oto jeden z najwybitniejszych polskich lekarzy pierwszej połowy XIX w., zręczny praktyk i bystry teoretyk, a nadto intelektualista, gorący patriota, konspirator i społecznik, człowiek nie tylko wielkiego rozumu

ale i rzadko spotykanych zalet charakteru, w gruncie rzeczy nadal pozostaje kimś prawie nieznanym. Nieszczęście polega chyba na tym, że wszystko sprowadzono do hasła, które pobrzmiewa w naszych uszach martwością i pustką zużytej treści, iż „wielkim balneologiem solankowym był”. Idea słonych kąpielí już dawno straciła rację bytu jako remedium na różnorodne schorzenia ludzkiego organizmu. I tak ów młynek buddyjski kręci się od stu pięćdziesięciu lat bez mała. A dokładnie od 1857 roku, kiedy to w niemieckim leksykonie został zamieszczony biogram Boczkowskiego, gdzie całe jego bogate życie okrojono zdecydowanie do spraw balneologicznych (Wurzbach Biographisches Lexikon d. Österreichischen Kaiserthums, Wien, 1857, T. II, s.9).

Ponieważ absolutnie nikt z dotychczas piszących o nim nawet nie usiłował udzielić odpowiedzi na proste i schematyczne, lecz kardynalne pytanie: gdzie i dokładnie kiedy Boczkowski się urodził, kim byli jego antenaci, jak przebiegała jego edukacja i jakim hołdował ideałom, czy tylko książki i lancet a potem jeszcze balneologia organizowały rytm jego życia, i na dziesiątki innych pytań, jakie się cisną przy takiej okazji – niniejszy szkic ma ambicję tę pustkę zapełnić. Nie jest to łatwe: co krok – to trudności, co drugi – to zagadka. Już na samym progu tej pasjonującej biografii mamy do czynienia z pewnym zamieszaniem. Rzecz dotyczy imienia, a właściwie imion, jakich Boczkowski używał. W grę wchodzi cztery: Szczęsny, Feliks, Jan i Nepomucen. O ile te trzy ostatnie, które w takiej samej liczbie i takiej samej kolejności widnieją na jego dyplomie doktorskim nie powinny budzić najmniejszych zastrzeżeń, o tyle imię Szczęsny może nas wprowadzić w niepokój i zdziwienie. Tymczasem jest na odwrót. Okazuje się, że to właśnie imię Szczęsny nie stoi w opozycji do faktów, tyle że te fakty trzeba znać. Niegdyś popularne, pod koniec XVIII wieku zaczęło być wypierane przez łacińskiego Feliksa po tym, jak targowiczanie hetman Szczęsny Potocki, skończony łotr i zaprzaniec własnego narodu okrył je hańbą. Tak przynajmniej sugerują znawcy przedmiotu (Henryk Fros i Franciszek Sowa „Twoje imię”, Kraków 1975, s.224, 225). I chyba mają rację. Ale swojsko brzmiące jak rodzima pszczoła utrzymywało się jeszcze długo na zasadzie zwyczaju i często Feliks, obcy i zimny, na codzień nosił ciepłą polską szatę. Jak Boczkowski. Pod imieniem Szczęsny obracał się on w kręgu rodzinnym, pośród kolegów szkolnych i przyjaciół, tym imieniem sygnował swoje listy prywatne, oprócz tych, które ze względów konspiracyjnych podpisywał pseudonimami, pod nim wreszcie funkcjonuje w polskiej literaturze pamiętnikarskiej tamtych czasów.

Natomiast w zestawie imion oficjalnych: Feliks, Jan, Nepomucen, biegnących gładko i pewnie jak na owym dyplomie koronującym jego młodzieńcze ambi-

cje naukowe, zamęt, całkiem zresztą niespodziewanie wywołuje środkowe imię, Jan. Otóż mamy tu do czynienia z interpolacją, a wtrętu tego najprawdopodobniej dokonał sam Boczkowski; dlaczego? O tym jeszcze będzie mowa. Podobnie jak o przyczynach błędu w datowaniu jego urodzin, błędu, który zakradł się do tekstu poświęconej mu w kościele parafialnym p.w. św. Klemensa w Wieliczce tablicy pamiątkowej. Jedynych, zgodnych z faktami historycznymi rozstrzygnięć obu tych kwestii dostarczają nam księgi metrykalne parafii rzymsko – katolickiej w Mikłuszowicach, gdzie podstawowy w tych sprawach dokument „Liber natorum” (T.I, s.100), ilość interesujących nas imion ogranicza do dwóch, a moment urodzin przesuwają o jeden dzień wstecz w stosunku do wadliwie podanej w epitafium daty. I tak oto jesteśmy już w domu.

Feliks Nepomucen, dwojga imion Boczkowski przyszedł na świat 29 (dwudziestego dziewiątego) maja 1804 roku w Mikłuszowicach (w cyrkule, albo inaczej obwodzie bocheńskim), wiosce położonej na północno-wschodnich obrzeżach Puszczy Niepołomickiej. Był jednym z dwojga dzieci – drugie to córka Feliksa – Ludwika Boczkowskiego herbu Gozdawa i Joanny z Hassmanów. Wywodził się więc Feliks ze starego rodu szlacheckiego. Boniecki w swoim „Herbarzu” podaje, że „Boczkowscy h. Gozdawa pochodzą ze wsi Boczkowice, położonej w powiecie chęcińskim, której dziedzicem 1508 r. był Jan, a 1540 r. Stanisław i Jan. Jan nabył od ks. Ostrońskiego wsie: Pleszów, Kowale i Prokoczyn, w ziemi krakowskiej 1570 r.” (Adam Boniecki „Herbarz polski”, Warszawa 1899, T.I., s.317). Na tej samej stronicy znajduje się pewna osobliwa ciekawostka: oto jeden z przodków Feliksa, niejaki Józef Gozdawa Boczkowski został w roku 1761 królem Cyganów „w województwach małopolskich”. Cała zaś reszta przodków to w mniejszym lub większym stopniu szeregowi hreczkosieje stający przy szabli, gdy Ojczyzna była w potrzebie. Na drzewie genealogicznym tego rodu nie znaleźć bowiem pędu wyrastającego ponad inne. A już Ludwik majątku żadnego nie posiadał, pracował jako leśniczy. Należał do tej części szlachty, która wyzbyła dóbr ziemskich nawet nie chodząc dzierżawcami. Jej przedstawiciele, wcale liczni, wraz z podobnymi sobie pod względem materialnym synami zubożałych domów mieszczańskich i nielicznymi jednostkami ze stanu chłopskiego kontynuowali rozpoczęty jeszcze pod koniec XVIII stulecia proces tworzenia nowej warstwy społecznej na ziemiach polskich, inteligencji. Droga do niej na ogół prowadziła przez uniwersytet. Miał ją również przebyć Feliks Boczkowski.

Na razie jednak przyszedł luminarz balneologii solankowej wzrastał w bezpośrednim kontakcie z przyrodą – z jednej strony jego rodzinnych Mikłuszowic szumiała odwieczna puszcza, z drugiej zaś toczyła swe nurty Raba,

gdzie wiejskie wyrostki baraszkując łowiły ukradkiem ryby – i w styczności z ludźmi twardej ciężkiej pracy na roli, żyjącymi niejednokrotnie w opłakanych warunkach i na skraju ubóstwa ocierającego się o głód i nędzę. Oba te fakty, piękno natury i niedola prostego człowieka, wyryły w jego psychice trwałe ślady. Na owe głęboko przeżywane obrazy nałożyły się jeszcze osobiste przeżycia małego dziecka. Dotkliwym dlań ciosem, bolesnym i tym bardziej okrutnym, że niezrozumiałym, była przedwczesna śmierć ojca. Ludwik Boczkowski zmarł w 1807 roku, kiedy Szczęsny liczył zaledwie trzy lata. Okaleczała nagle rodzina borykała się z rozlicznymi trudnościami. Los chłopca był zagrożony. Lecz szczęściem, gdy nieco podrośł, opiekę edukacyjną roztoczył nad nim stryj, Jan Boczkowski (1766 – 1851), który od roku 1803 pełnił urząd proboszcza w Mikłuszowicach. Po wstępnej nauce, jakiej mu również sam udzielał, a w jej trakcie nie zabrakło przecież i pierwiastka patriotycznego z Kościuszką w punkcie centralnym, ksiądz Jan umieścił bratanka w gimnazjum, w nieodległej Bochni. Fala zajądłej i bezwzględnej germanizacji zalała i miasto, i jego instytucje, urzędy, sądownictwo, szkoły, podobnie zresztą jak w całej Galicji. A Bochnia, ten, obok Wieliczki, ważny ośrodek górnictwa solnego, był na domiar ośrodkiem zaborczej władzy administracyjnej rozległego cyrkułu. Nauka w gimnazjum odbywała się w języku niemieckim, a o wyrugowanej z programu nauczania historii Polski należało czym prędzej zapomnieć. Tylko dzięki odpowiedniej postawie nauczycieli polskich, dzięki duchowieństwu i tradycjom rodzinnym Boczkowski i tacy jak on młodzieńcy rozwijali w sobie uczucia patriotyczne, wzmacniając je już na własną rękę stosowną lekturą, dyskusją, wychwytywaniem z bieżącego życia wszelkich impulsów narodowego trwania. Tymczasem o mury bocheńskiego gimnazjum obijały się głośnie wówczas echa wielkich zdarzeń dziejowych, same ponure, niszczące nadzieję na rychłe odzyskanie wolności. Klęska Napoleona pod Waterloo i ostateczny jego upadek, decyzje Kongresu Wiedeńskiego w sprawie Polski rozszarpywanej tam po raz kolejny, na koniec śmierć umiłowanego bohatera bez skazy, Tadeusza Kościuszki. Kiedy 23 czerwca 1818 roku, w niecałe dziewięć miesięcy po śmierci, sprowadzone zostały z Solury do kraju i pochowane na Wawelu zwłoki Kościuszki, kult Naczelnika sięgnął zenitu. Urządzano z tej okazji rozmaite uroczystości, niejednokrotnie zakonspirowane, na Górze św. Bronisławy w Krakowie sypano ku jego czci kopiec, wygłaszano wzniosłe przemówienia, pisano mniej lub bardziej udane utwory poetyckie, elegie, dumy wiersze, do których komponowano muzykę. Popularny ongiś dramatopisarz Konstanty Majeranowski (1790 – 1851) ułożył sentymentalną, prostą w zamyśle scenicznym i o niezbyt wygórowanych ambicjach artystycznych

sztukę pt. „Pierwsza miłość Kościuszki” – rzecz dotyczyła rozstania tytułowego bohatera z Ludwiką Sosnowską i po raz pierwszy była wystawiona w Krakowie w 1820 roku; w tym samym też roku drukowano ją w „Pszczołce Krakowskiej” (Jerzy Śliżiński „Tadeusz Kościuszko w literaturze narodów Europy i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej” Warszawa 1981, s.48). Utwór ten cieszący się wówczas, i jeszcze przez kilka dziesiątków lat, wielkim wzięciem u publiczności, Boczkowski musiał albo oglądać na scenie, albo czytać, względnie i oglądać, i czytać. Spory ładunek naiwnych co prawda ale wzniosłych myśli, jakie autor w nim zawarł, niewątpliwie mocno oddziaływały na usposobioną romantycznie wyobraźnię młodego człowieka, skoro pewne ślady tych przeżyć duchowych odnajdujemy w liście Szczęsnego z dnia 6 listopada 1826: „Ciesz mię znalezienie w historii naszego Franciszka (nieszczęśliwie zakochanego przyjaciela, który rzekomo miał robić karierę w szeregach greckich powstańców – przyp. mój, W.Ż.) także śladu miłości, której nasz Kościuszko i inni sławni hołdowali ludzie i która u wielu pierwszym była do wielkości stopniem. Miłość bowiem jest to ogień, którego młodzieńca uczucia czyści i hartuje...”

Po ukończeniu gimnazjum Szczęsny wybrał się do Lwowa, by studiować na tamtejszym uniwersytecie. Nie był to jeszcze ów piękny Lwów, pełen wspaniałych budowli i tętniący bogatym życiem, znany nam z końca XIX w. Przywitało go miasto posępne, szare gmachy rządowe, kilka odwachów, arsenał i składy artyleryjskie, artyleryjska strażnica ogniowa, prokuratoria, sąd karny, sąd apelacyjny, główna komenda wojskowa, koszar, wszystko obsadzone przez Niemców austriackich. Jeszcze kościoły i bożnice i jedyna w owej galicyjskiej metropolii kawiarnia Kulikowskiego „Pod Capkiem” przy ulicy Krakowskiej, tłumnie odwiedzana przez młodzież akademicką. Zachodził tam i Boczkowski dla przeczytania prasy, rządowej oczywiście, bo innej właściciel nie śmiał wyłożyć, oraz na pogawędkę towarzyską. Atmosfera wszechwładnej szpiegomanii fundowanej przez zaborcę krępowiała właściwą temu miejscu naturalną swobodę bywalców. Ściszone rozmowy, z rzadka tylko przetykane frywolną anegdotą i stonowanym śmiechem, obracały się prawie wyłącznie wokół spraw uniwersyteckich, egzaminów, profesorów, lektur – o polityce lepiej było nie napomykać. A nauki było sporo, pamięciowej, ujętej w zardzewiałe kleszcze staroświecczyny, pełnej reliktyw z hukiem odrzucanych na zachodzie i północy Europy, w tamtejszych uniwersytetach. Na lwowskim poziomie był niski i to niemal w każdej dyscyplinie. Ogólnie obowiązująca zasada brzmiała: żadnych nowinek naukowych. Poza tym uczucia patriotyczne należało lokować w Domu Habsburskim. Spośród kadry profesorskiej wyróżniał się korzystnie tylko Józef Mauss wykładający historię powszechną, polonofil, ulubieniec akademickiej

młodzieży, który mimo zakazów policyjnych zawsze wplatał w tok swych zajęć wiadomości, albo ciekawe uwagi o Polsce i o polskim narodzie. Ale był to wyjątek. Obowiązkowy dwuletni kurs filozofii, jako wstępny do studiów właściwych, obejmował filozofię, a w zasadzie logikę, literaturę starożytną, matematykę, fizykę i religię. Lecz celem wykładów nie było poszerzenie czy pogłębienie wiedzy w zakresie tych przedmiotów, stanowiły one jedynie powtórzenie i utrwalenie programu nauczania gimnazjalnego. Cokolwiek więc Boczkowski tam zdobył, a wiadomo że zdobył wiele, zawdzięczał tylko swej ciekawości i lekturom, jakie wyszukiwał i aplikował sobie na własną rękę. Wzbogacił się też o cały szereg nowych interesujących znajomości. M.in. zanim po latach wstąpił w szranki rywalizacji o katedrę chorób wewnętrznych na Uniwersytecie Jagiellońskim ze swoim rówieśnikiem Józefem Dietlem (1804 – 1878), najpierw wspólnie zasiadali na jednej ławie, jako słuchacze lwowskiego kursu filozoficznego. Również tutaj zadzierzgnął serdeczną przyjaźń z Henrykiem Bogdańskim (1804 – 1887), późniejszym uczestnikiem Powstania Listopadowego, wiecznym spiskowcem, więźniem ponurych kazamatów Spielbergu na Morawach, na koniec cenionym wysoko przez historyków pamiętnikarzem, przyjaźń, którą potem kontynuowali w Wiedniu. Szczęsny bowiem, ukończywszy chwalębnie filozofię przeniósł się do stolicy monarchii austriackiej. Tu, na Uniwersytecie Wiedeńskim, miał spędzić aż do 1830 roku kilka niezwykle pracowitych lat studenckich uwieńczonych doktoratem nauk medycznych. I równocześnie bardzo biednych, przeplatanych walką o fizyczne przetrwanie. Były dni, że oprócz kawałka suchego chleba nie miał czego do ust włożyć, były miesiące, kiedy zamieszkiwał nie w ubogiej izdebce, ale w zwykłej komórcie bez okien wynajętej u prostego gospodarza na dalekim przedmieściu. Jedyne niemal źródło utrzymania stanowiły korepetycje dawane po zasobnych domach mieszczańskich. Jednak przy silnej konkurencji ze strony na ogół biednej braci studenckiej niełatwo było je zdobyć.

Do jaśniejszych okresów wiedeńskiego bytowania naszego protagonisty należał ten, kiedy w jego życiu pojawił się Ossoliński. Potomek tego rodu magnackiego, który już bardziej błyszczał nazwiskiem niż fortuną. Oto ów Józef Maksymilian hrabia z Tenczyna – jak się sam tytułował – Ossoliński (1748 – 1826), historyk, powieściopisarz, niezrównany erudyta i tłumacz, wreszcie fundator Zakładu Narodowego we Lwowie (1817) i od wielu lat prefekt czyli dyrektor Nadwornej Biblioteki Cesarskiej w Wiedniu, na około cztery lata przed śmiercią – ociemniał. Dla takiego jak on człowieka, któremu słowo pisane lub drukowane było codzienną strawą, radością i sensem życia, ślepotą stanowiła straszliwa zawada. Dolegliwość ta nie wpędziła go jednak w stan rezygnacji czy apatii. Na trzy miesiące przed śmiercią, a więc w grudniu 1825 roku pisał do swojego przyjaciela

Ambrożego Grabowskiego, krakowskiego księgarza i wydawcy, z którym utrzymywał żywy kontakt: „Moje zdrowie zawsze jednakże, katarakta troszki postępuje. Tymczasem moje pisma rosną, jeszcze tylko 14 ksiąg Liwiuszowych zostaje mi do tłumaczenia. Satyr Juwenalisa przełożyłem 6. Listów Pliniusza Młodszego będzie około stu. Literackie zabawy słodzą mi szczególnie moją dolegliwość...” (cytuje za Aleksandrem Małachowskim, z jego przedmowy do „Wieczorów Badeńskich czyli Powieści o strachach i upiorach, Józefa Maksymiliana Hrabiego z Tenczyna Ossolińskiego” Warszawa 1970, s.9). Umiłowanym „starożytnościom polskim” oddał kawał swojego życia, teraz przyszła kolej na starożytny Rzym, którego historię i literaturę też otaczał czułym zainteresowaniem. Tak więc zmartwienie wypływające z ograniczenia normalnego odbioru świata i swobodnego w nim się obracania przewyciężał Hrabia wytrwałą pracą. A radził sobie w ten sposób, że „...miał zawsze przy sobie dwóch młodych ludzi, wybieranych spośród uczącej się ubogiej polskiej młodzieży, z których jeden na przemian był zawsze obok niego i czytał mu po łacinie historię rzymską Liwiusza, którą on na polskie tłumaczył i czytającemu dyktował, – pisze Henryk Bogdański („Dziennik podróży z lat 1826 i 1827”, Kraków 1980, s.208, 209) gdy mu się czasem Liwiusz uprzykrzył, kazał czytać Juwenala lub inne łacińskie dzieło...”. I kilka wierszy dalej: „Ci dwaj młodzieńcy byli wprawdzie umęczeni przy nim, ale ubiegano się o uzyskanie tego miejsca, bo dobrze płacił i młodzież chętna nauki wiele z rozmowy z nim korzystała. Jednym z tych czytających mu i pilnujących go młodzieńców był przez kilka miesięcy nasz Szczęsny aż do jego śmierci”.

Ten okres życia Boczkowskiego, spędzony w ustawicznym kontakcie z Ossolińskim wycisnął w sposób znamieny piętno na pisarstwie specjalistycznym naszego bohatera, który, już jako lekarz i autor, dążył w swych publikacjach do rozległego ujęcia problemów medycznych, gdzie istotę poruszanej przez siebie rzeczy opłacał możliwie jak największą ilością towarzyszących jej zjawisk. Takiej metodzie podejścia do każdego zagadnienia hołdował Ossoliński. Stąd w koronnym dziele Boczkowskiego „O Wieliczce pod względem historii naturalnej, dziejów i kąpiel” (Bochnia 1843) wydanego przez drukarza i nakładcę Wawrzyńca Pizsa, którego osią jest balneologia solankowa, mamy do czynienia i z geologią, i z historią, i z demografią, i ze statystyką, i z informacją bieżącą. A wszystko to oparte na rzetelnych źródłach i z dodatkiem własnych, gdy idzie o samą balneologię, obserwacji i badań prowadzących do odkrywczych wniosków i uwag. Między innymi takich, że mikroklimat głębin kopalnianych Wieliczki wpływa dobroczynnie, a więc leczniczo w przypadkach ludzi cierpiących na astmę. Co, mówiąc

nawiasem, wspomniany wyżej Mieczysław Skulimowski, wykorzystał lokując w podziemiach kopalnianych słynne dzisiaj szeroko sanatorium alergologiczne.

Jeśli zaś idzie o dobre wynagrodzenie za pracę lektorską i opiekuńczą u Ossolińskiego, to Bogdański nieco przesadził. Wiadomo bowiem, że Ossoliński, wielki darczyńca na rzecz narodu, na co dzień rozrzutny nie był. Finanse swoje trzymał krótko. Lecz fakt pozostaje faktem: zajęcia u dostojnego pryncypała odejmowały Szczęsnemu trosk o stół i dach nad głową. A i na parę nowych bucików jeszcze wystarczyło.

Potem, po śmierci Hrabiego, znowu biedował. Na dom rodzinny nie mógł liczyć a stryj Jan tknięty, w wyniku udaru mózgu, częściowym paraliżem sam wymagał opieki – znalazł ją w Wieliczce, gdzie został rezydentem przy kościele parafialnym św. Klemensa.

W bogatym, kipiącym od życia w jego wszystkich odmianach i barwach, wspaniałym Wiedniu, Szczęsny czuł się obco. Tę obcość osładzała mu tylko prawdziwie męska na dobre i na złe, przyjaźń z Bogdańskim. Niebawem, a było to jesienią 1825 roku, do Szczęsnego i Henryka dołączył jeszcze Franciszek Zabłocki, młodszy o rok przyjaciel Bogdańskiego, przybyły właśnie ze Lwowa. Dzieliło ich wiele: temperament, uzdolnienia, sytuacja rodzinna i finansowa, łączyło wszakże usposobienie romantyczne, umiłowanie wolności i miłość do Ojczyzny nastawiona na wysoki patriotyczny diapazon. Nic zatem dziwnego, że te trzy umysły musiały się spotkać, a spotkawszy, mocno do siebie przylgnąć. Henryk i Franciszek postanowili zawiesić swe studia prawnicze i wyruszyć na pomoc, jako ochotnicy, Grekom walczącym wówczas przeciwko Turcji o swoją niepodległość. I tu otwiera się przed nami piękny rozdział spiskowej działalności Boczkowskiego. Pseudonimy Zum i Koperek to tylko niektóre, najczęściej w tym okresie przezeń stosowane. Od pierwszego lipca 1826 do lutego 1827 czyli przez cały czas trwania wyprawy która zresztą celu swego nie osiągnęła przede wszystkim z powodu braku odpowiednich funduszy, patronował co prawda z daleka, bo z wysokości Wiednia, owemu szlachetnemu przedsięwzięciu. Podtrzymywał przyjaciół na duchu, był im też wspomożycielem i mentorem. W jednym z listów do Henryka i Franciszka, do Triestu, skąd zamierzali się nielegalnie przedostać statkiem do walczącej Grecji, pisał: „Wasza pamięć i przykład przeciwko wszelkim uzbrajają mię dolegliwościom – polegajcie na Bogu, a nie zapominajcie, żeśmy jednej matki dzieci. Nie mogę się wstrzymać tak do was przemówić i tak was pożegnać, kochani bracia. – Nic mię więcej ucieszyć nie zdoła, jak gdy mi doniesiecie, żeście swego dopięli. Czuję coraz bardziej jarzmo ukochanej ojczyzny i z wzdrygnięciem serca ledwie je na sobie przenieść mogę – bodajście już po wolnej stąpali ziemi”.

Boczkowskiego charakteryzowała daleko posunięta empatia, cecha tak bardzo ceniona, zwłaszcza u lekarzy. W późniejszych latach dostrzegł to osobiście jego wielki dożgonny przyjaciel, a zarazem pierwszy i jak dotąd jedyny jego biograf ks. Stanisław Osuchowski (1802 – 1865). Dostrzegł i opisał w lakonicznym życiorysie Boczkowskiego (łaciński manuskrypt, Archiwum parafialne św. Klemensa, Wieliczka 1855 r.). Silne przeżywanie cudzych losów nadszarpywało mu zdrowie: w wieku 36 lat skarżył się na brak czasu i zmęczenie. Lecz wtedy, w Wiedniu, kiedy liczył zaledwie 22 lata, owa nieprzeciętna zdolność wczuwania się w położenia drugiego człowieka po raz pierwszy objawiła się u niego w całej pełni. Cytowany wyżej „Dziennik podróży z lat 1826 i 1827”, który Bogdański sporządzał na bieżąco, usiany jest informacjami typu: „Znowu otrzymany list z Wiednia od Szczęsnego, a w nim 10 złr. m.k. ze składek kolegów dla nas zebranych” (s. 73), albo „Ten nieoceniony przyjaciel, zrobiwszy dla nas składkę kolegów Polaków, przysłał nam (do Triestu – dop. mój W.Ż.) 15 złr. m. k. – Błogosławiliśmy temu pocziwemu sercu, które nas już po raz drugi oswobodziło od ostatecznej uległości przed głodem” (s. 151). Posyłał im też własne, zarobione na korepetycjach pieniądze. A gdy i jedno, i drugie źródło wysychało, wkładał do koperty walory, zapożyczając się na tę okoliczność, gdzie tylko mógł.

Historia tej wyprawy jest ciekawa jeszcze z innego powodu. Był w niej taki moment, w którym Szczęśny całkiem poważnie brał pod uwagę opuszczenie, wręcz ucieczkę z obmierzłego mu Wiednia. Dlaczego? Oto czuł na swoim karku oddech panów z tajnej policji Metternichowskiej. Bogdański odnotował następującą rzecz, związaną z Boczkowskim, stawiając mu jednocześnie życiowego pasjansa: „...z uciechą zastaliśmy list z Wiednia: Szczęśny Boczkowski, akademik wydziału medycznego, młodzian najgodniejszego charakteru i prawdziwie czujący oddalenie nasze, przysłał nam zasiłek pieniężny 7 złr. m.k., na jaki go stać było. Pamięć jego do łez nas poruszyła; lecz zmartwiła i zaniepokoiła wiadomość, że policja w Wiedniu prześladować zaczęła przyjaciół naszych tak, że Szczęśny sobie ułożył podzielić los z nami, gdyby papiery jego przetrzęsiono; ucieszyła nas nadzieja towarzystwa tak godnego szacunku przyjaciela, kochającego wolność i ojczyznę; aleśmy żalowali przerwania zaczętych jego zawodowych nauk, które przy jego charakterze ludzkości bardzo użytecznymi stać by się mogły – życzyliśmy mu przeto i radzili w liście naszym unikać styknień z policją.” („Dziennik podróży...”, s. 70, 71). Papiery, jakie mogłyby naszego protagonistę skompromitować w oczach policji to w pierwszym rzędzie listy. Był bowiem Szczęśny „skrzynką kontaktową” dla patriotycznie nastawionej akademickiej młodzieży polskiej. Dowody tej korespondencji biegnącej na linii Wiedeń – Lwów, Wiedeń – Kraków,

czy Wiedeń – miejsca okresowych postojów Henryka i Franciszka, znajdowały się w jego osobistym archiwum, z którym się nigdy nie rozstawał. Obok tego były jeszcze rozmaite notatki, broszury i książki zakazane.

A zapowiedź, z jaką wystąpił Bogdański, okazała się nad wyraz trafna. Potwierdziły to wypadki z życia Boczkowskiego, zaistniałe wkrótce po ukończeniu przezeń wiedeńskiego uniwersytetu. Dyplom doktora medycyny uzyskał 6 grudnia 1830 roku, w dniu następnym dyplom chirurga. Oba te dokumenty, oraz biegła znajomość języka niemieckiego w mowie i piśmie otwierały przed nim bramę do szeroko pojętej kariery zawodowej. Dawały możliwość ubiegania się z czasem o akademickie stopnie, tytuły i godności. Albo o stanowiska w państwowej służbie medycznej. Mógł być też od razu wybrać i osiąść w dowolnej miejscowości na terenie całej monarchii austriackiej, nie wyłączając Wiednia. Lecz on powrócił do swych stron ojczystych. Drogę zawodową rozpoczął w Bochni, otwierając tam już w styczniu 1831 prywatną praktykę. Był to akurat czas, w którym po detronizacji cara, jako króla polskiego, Powstanie Listopadowe przemieniło się w wojnę polsko – rosyjską. Dla szybszego zdławienia niepodległościowego zrywu Mikołaj I zaczął ściągać posiłki z azjatyckiej części swojego imperium. Żołnierze ci przywlekli ze sobą zarazę, na terenach polskich wybuchła epidemia cholery. Również w Wieliczce dokonała spustoszeń. Jej ofiarą padł m.in. Tomasz Chromy, fizyk salinarny, inaczej mówiąc kierownik zakładowej służby zdrowia w kopalni soli. Powstał wakat. Boczkowski zgłosił swoją kandydaturę, która uzyskała akceptację rządową. Pracę w kopalni rozpoczął w maju 1831 roku jako tymczasowy fizyk salinarny. Status fizyka rzeczywistego czyli pełniącego tę funkcję już na stałe, uzyskał w rok później. W dobie porozbiorowej był po Józefie Geppercie i Tomaszu Chromym, trzecim z kolei naczelnym lekarzem, ale pierwszym Polakiem.

Stanowisko fizyka było niewątpliwie prestiżowe, lecz nie lukratywne. I dopóty wynagrodzenie około 800 florenów rocznie zdawało się stanowić godziwą pensję, dopóki Boczkowski pozostawał kawalerem. Z chwilą jednak założenia przezeń rodziny, ledwie to wystarczało – jak pisze ks. Osuchowski – na skromne prowadzenie domu. O dodatkowych zarobkach nie było mowy: Feliks Boczkowski należał bowiem do grona tych lekarzy, którzy traktują swoją pracę jako wypełnianie szczególnej misji, zgodnie z tym, co przed wiekami zalecał Hipokrates. Równie skromnie mieszkał. Otrzymał lokal służbowy przy szpitalu górniczym na przedmieściu sandrowa, pod nr. 34. Tam też sprowadził z Nieznanowic w powiecie bocheńskim świeżo poślubioną żonę. Jego dożgonną towarzyszką życia została Eleuteria Starża-Zbyszewska, córka Hipolita i Karoliny z baronów Lewartowskich, urodzona w Dydni, w roku 1814 (Nieznanowice, „Liber copulatorum”,

s. 13). Odtąd subtelna rudowłosa Eleuteria zajmowała się domem i dziećmi, których doczekali się pięcioro, trzech córek i dwóch synów, a on, wysoki, o łagodnym uśmiechu Feliks dwoił się i troił, by podołać swym obowiązkom. Piecza nad zdrowiem górników i ich rodzinami pochłaniała sporo czasu, dochodziły do tego jeszcze zajęcia społeczne: troska o wygląd zaniedbanego dotychczas miasta. Rozpoczyna propagowanie kąpeli słonych w Wieliczce, zamieszczając w prasie lwowskiej, a następnie krakowskiej artykuły o wpływie solanki na zdrowie człowieka. Myślą jednak sięga dalej, oczyma duszy widzi w schludnym uporządkowanym mieście nowoczesny na miarę europejską zakład kąpielowy. A w nim mnóstwo kuracjuszy z kraju i zagranicy. Usilnie więc dąży do zerwania z praktykowanym tu od około dziesięciu lat chałupniczym, niemalże pokątnym udzielaniem po domach prywatnych kąpeli, i zastąpieniem go systemową opieką lekarską ujętą w ścisłe ramy organizacyjne i medyczne na wzór Bad Ischl, gdzie w celach leczniczych chętnie przebywała rodzina cesarska.

Przedsięwzięcie było kosztowne. Kopalnia soli dożywała swej dawnej świetności i na wysupłanie dodatkowych sum po prostu nie mogła sobie już pozwolić, mimo że jej zarządca de Blagay skłaniał się ku inicjatywie Boczkowskiego. Ten jednak wybrnął z trudnej sytuacji zjednując sobie burmistrza Ignacego Włodka oraz starostę bocheńskiego Karola Berndta.

I oto burzy się stare rudery, wygładza ulice, zakłada nowoczesne oświetlenie miasta. Specjalnie z myślą o gościach urządza się pomieszczenie teatralne – wędrownie trupy sceniczne i artyści zaproszeni z Krakowa będą kuracjom umilać tu pobyt. W roku 1837 zawiązuje się Towarzystwo Akcjonariuszy. Na liście jego członków widnieją nazwiska m.in. takie, jak książę Henryk Lubomirski, biskup Franciszek Zachariasiewicz, Edward Homolacz – właściciel Kuźnic koło Zakopanego, znany działacz żydowski i finansista Meisels Beer, właściciel Śledziejowic Erazm Niedzielski, baron Rotschild z Wiednia. Dzięki takim akcjonariuszom i wielu innym idea budowy łaźni zyskała na popularności. Naczelnikiem Towarzystwa został Karol Berndt a lekarzem naczelnym domu zdrojowego Feliks Boczkowski. Zebrane fundusze pozwoliły na rychłe rozpoczęcie budowy. „Ten dom kąpielowy stawia się w stylu najnowszym i najokazalszym, na placu obszernym, pod którym kopalni nie ma, a to w samym mieście, blisko głównego wiedeńskiego gościńca” – informuje Boczkowski na stronie 94 wspomnianego dzieła – „O Wieliczce pod względem historii naturalnej, dziejów i kąpeli”. Pierwsi kuracjusze korzystali z nowego obiektu zdrojowego już w 1838 roku. Zabiegi przewidywały kąpiele solankowe, inhalacje, picie odpowiednio dawkowanej solanki oraz pobieranie stosownie do choroby kąpeli parowych. Boczkowski ordynował

leczenie kompleksowe, w skład którego wchodziła, oprócz powyższych zabiegów, dieta i tryb życia. Obarczony obowiązkami fizyka salinarnego i ordynatora górniczego szpitala, jako naczelný lekarz zdrojowy znajdował jeszcze czas na indywidualne przyjmowanie pacjentów poszukujących w cieniu kopalni soli ratunku dla swojego zdrowia nadszarpniętego astmą, chronicznym przeziębieniem, gruźlicą płuc, reumatyzmem, chorobą angielską czy też chorobą św. Wita.

Niestety, burzliwe wydarzenia Powstania Krakowskiego 1846 roku, które swym zasięgiem objęło również Wieliczkę, doprowadziły do upadku popularnego zakładu zdrojowego. O roli natomiast, jaką odegrał Boczkowski w tym powstaniu, a że odegrał to pewne, ks. Osuchowski nie wspomina, sprawa była zbyt świeża i niebezpieczna politycznie. Zaś dwustronicowy biogram (maszynopis 1937) naszego fizyka, autorstwa Emila Bieleckiego, znajdujący się w materiałach redakcji Polskiego Słownika Biograficznego, w ogóle pomija tę kwestię. Ale Boczkowski jeszcze raz podrywa się do lotu. Za jego sprawą wyburza się stary drewniany szpital górniczy i w jego miejsce, w roku 1848, buduje nowy, murowany, który istnieje do dzisiaj – zmienił tylko funkcję, obecnie służy jako budowla mieszkalna. Szpital liczył zaledwie osiem łózek, niewiele, lecz dla porównania można dodać, że sławna klinika Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, zreorganizowana i urządzona nowocześnie przez prof. Józefa Brodowicza, miała w tym samym czasie łózek osiemnaście.

Feliks Boczkowski zakończył życie 23 lipca 1855 roku. Zmarł na grasującą wówczas cholere. Przed nim zmarła w 1849, w Wielicdze, jego niezamężna siostra Tekla, a w 1851 stryj Jan, który częściowo sparaliżowany po udarze mózgu dożywał, też w Wielicdze, swych dni. Tu wreszcie, w roku 1863, rozstał się z życiem, najmłodszy z dzieci Boczkowskiego, czternastoletni Feliks. Nie pozostał po nich ani jeden grób.

W dwa lata po śmierci doktora Feliksa Boczkowskiego, ks. Stanisław Osuchowski, ówczesny proboszcz i grono przyjaciół, wystawili mu w kościele parafialnym św. Klemensa w Wielicdze epitafium, popiersie z kamienia pińczowskiego ujęte w marmurowe kolumny; całość wykonana przez Edwarda Stehlika w roku 1857 i opatrzona stosownym do wielkich zasług zmarłego napisem. Niech niniejszy szkic biograficzny będzie dla niego i dla takich, jak on lekarzy, skromnym hołdem.

Władysław Żołubak



KAROL MALINOWSKI
POWSTANIEC, SYBIRAK I ŻOŁNIERZ CESARZA
MAKSYMILIANA

Karol Malinowski (1843 – 1883), ur. w Krasnymstawie, zm. w Wieliczce. Uczestnik Powstania Styczniowego 1863, zesłaniec, żołnierz cesarza Maksymiliana, pracownik kopalni soli w Wieliczce.

Rozpoczynając w paryskim „Revue Modern” w roku 1867 publikację swoich pamiętników, Emil Andreoli zadedykował je następująco: „Jego Cesarskiej Mości, Aleksandrowi II, który dał mi sposobność zwiedzenia swojego wielkiego państwa, jego niezmierzonych obszarów i niezmierzonej nędzy”. Ironię tych słów łatwiej pojąć, gdy weźmie się pod uwagę, że ich autor był jednym z tych obcokrajowców, co ożywieni szlachetnymi ideałami, wzięli udział w Powstaniu Styczniowym. W nieszczęsnej bitwie pod Krzykawką, w której zginął pułkownik Francesco Nullo, Andreoli wpadł w ręce rosyjskie, otrzymał karę śmierci zamienioną mu w drodze szczególnej łaski na katorgę i popędzony na Sybir zaznał tam wszelkich dobrodziejstw systemu carskiego z głodem, chorobą i kajdanami łącznie, zanim po trzech latach przyszła upragniona amnestia.

Zatrzymując się jeszcze na moment w kręgu poetyki francuskiego pamiętnikarza, można pokusić się o stwierdzenie, że prawdziwymi ekspertami od geografii, w tym geografii politycznej w dziewiętnastowiecznej Europie byli sami Polacy. Wyzbywani w swojej masie przez zaborców z ambicji poznawczych, nie z książek tę wiedzę czerpali. Zdobywali ją mimochodem, w trudzie nieustannych wędrówek, ucieczek i przemarszów, podczas przekraczania kordonów i granic, na biwakach i na polach bitewnych od Madrytu po Moskwę i od Paryża po Kaukaz. A po drodze zdarzały się jeszcze jak ponure znaki osobnego alfabetu grozy: knut, różgi i łańcuchy, więzienia i twierdze, katorga, a nawet beznadziejna walka w tropikach już nie o Polskę, lecz o przeżycie.

Odwróciwszy sytuację zobaczymy, że to Europa zdeptana przez naszych ówczesnych przodków wzdłuż i wszerz, dostarczała o sobie informacji polskim politykom, dyplomatom nieistniejącego państwa, artystom, pisarzom, wszędobylskim emisariuszom i żołnierzom. Jeżeli ktoś z nich powracał nad Wisłę, Wartę i Dniepr, w strony rodzinne i swojskie, a przecież wielu się to udało, przynosił ze sobą obrazy obcych krajów na ogół rzetelne i prawdziwe, dalekie od turystycznych landszaftów. Obrazy pogłębione o treści, których myślą przewodnią była

wolność. Wolność miała też stanowić puentę owych poematów bohaterskich pisanych przez Polaków własną poniewierką, krwią i cierpieniem. Ale puenty nie było. Dopisały ją następne pokolenia dopiero w XX wieku. Im natomiast pozostały złamane życiorysy i mogiły rozsiane po świecie.

Karol Malinowski nad którego losami dzisiaj się pochylam też nie uniknął prześladowań, miał jednak tyle szczęścia, że ominęło go najgorsze: śmierć. Ta bowiem, przybierając w tamtych dramatycznych czasach postać rozjuszonego Kozaka z szablą w dłoni, albo strażnika – sadysty w miejscu kaźni, czy urzędowego kata, których w Rosji carskiej było całe mnóstwo, pochłonęła tysiące, dziesiątki tysięcy istnień ludzkich. Apogeum wyniszczania narodu polskiego przypadło na okres powstania 1863 i tuż po nim. Ilu wtedy Polaków zakłuto, rozsiekano, porzucono dzikim zwierzętom na pożarcie? Ilu zginęło z wycieńczenia i głodu, ilu, na owych bezbrzeżnych pustkowiach między Uralem a Kamczatką powalił śmiertelny oddech mroźnego Sybiru? A gdzie odnotowano tych, co postradawszy tam zmysły już za życia pograżyli się w wiecznym mroku? Kto zgłębił tajemnice kopalń syberyjskich, ich bezdennych czeluści? Czy kurhan sypano każdemu, kto w karnych batalionach dopełnił swe przeznaczenie gdzieś na Kaukazie, w Azji Centralnej lub nad Amurem? Jaka wreszcie była ilość uciekinierów z kraju, którzy chcąc uniknąć miażdżących ciosów petersburskiego tyrana oparli się dopiero w najdalszych zakątkach świata? I tu zaczyna się występna magia cyfr. Powstanie Styczniowe posiada obfite źródła historyczne, a co za tym idzie bogatą literaturę przedmiotu. Panorama więc zdarzeń z lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku powinna być pełna. A tak nie jest, bo w wielu wypadkach brakuje liczb prawdziwych. Władze carskie, cała machina państwowa Imperium ukrywała je skrzętnie za podwójną gardą kłamstwa i totalnego bałaganu. Gdyby zaufać historykom rosyjskim czy radzieckim okazałoby się, że tacy jak Malinowski, o których źródła milczą, dręczeni nudą wyruszyli na Syberię z wycieczką krajoznawczą. Wierutna bzdura, a tak jaskrawa, że aż nieznośna, ubliżająca zdrowemu rozsądkowi i zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Wśród wielu innych historyków polskich, Stefan Kieniewicz, wnikliwy badacz, monografista i syntetyk, który zęby zjadł na Powstaniu Styczniowym, postępując ostrożnie radzi dane liczbowe wzięte z rosyjskich archiwów i opracowań pomnożyć przez dwa. Nie popełniając gafy dodam od siebie: w niejednej dziedzinie należy je pomnożyć przez dziesięć, a nawet przez sto. Tylko czy w taki sposób osiągniemy cel? W końcu człowiek to nie sucha liczba, jedynie znajomość jego losów przybliży nam prawdę o nim samym i o epoce, w której przyszło mu żyć, pracować, walczyć i umierać. A jednak i jedno i drugie jest niezwykle ważne.

Liczba bowiem to rozmiar pewnego zjawiska, suma zaś biografii wchodzących w zjawiska tego zakres, to jego treść i jakość. Zwykło się mówić, że pod berłem Romanowów Polak był, bez względu na pochodzenie społeczne, wykształcenie, zawód czy zasługi, obywatelem drugiej kategorii. Nieprawda, był zerem. Taką liczbę przeznaczono naszemu narodowi szczelnie go okrywając całunem polityki eksterminacyjnej. Ilustracji tego znamy aż nadto. Pęczniewą od nich podręczniki i całe księgozbiory. Jeszcze jedną nigdzie dotąd nie ujętą stanowi życie Karola Malinowskiego, którego grób znajduje się na wielickim cmentarzu.

Urodzony 11 listopada 1843 roku w Krasnymstawie z miastem tym był związany nieprzerwanie do dziewiętnastego roku życia. Podstawy wykształcenia dała mu szkoła, resztę uzupełnił dom i Kościół. Prawdopodobnie mając lat szesnaście udał się z pielgrzymką do Częstochowy, kawał drogi piechotą w obie strony, której trudy zniósł nad podziw dobrze. Pani Maria Malinowska, wnuczka naszego bohatera, przekazując mi kilka wiadomości, jakie na jego temat uzyskała od swego ojca Antoniego – Karol bowiem zmarł zanim ona przyszła na świat – wspomniała o jego posturze. Wysoki, atletycznie zbudowany podobno odznaczał się niepospolitą siłą. Używana z rozważą i zawsze w dobrej sprawie, już na wstępie zjednywała mu szacunek otoczenia. Chłopiec dojrzewał w gęstej atmosferze posępnych wieści o zamykaniu kościołów przez rosyjskie władze okupacyjne, o masakrze na Placu Zamkowym w Warszawie, o wzmożonych aresztowaniach i wywózkach na Sybir. Burzyła się w nim krew. Lecz w najbujniejszych fantazjach nie wyobrażał sobie losu, jaki go niecierpliwie oczekiwał tuż za progiem rodzinnego domu. Że gdy zajdzie potrzeba podejmie walkę – tego był pewien. Ale, że za niedługo dzień po dniu, miesiąc po miesiącu przez kilka ciężkich lat będzie balansował na granicy życia i śmierci – tego ani wyobrażnia, ani intuicja mu nie podpowiadały. I stało się. Margrabia Wielopolski ogłosił brankę, młodzież ruszyła w lasy; a w styczniu 1863 powstańczy Rząd Narodowy ogłosił „Manifest do Narodu”. Cierpliwość, tę cechę słabych Polacy zostawili innym. Niepomni ofiar szli od zrywu do zrywu, ciągle przegrywający i wciąż niepokonani. Jak odtąd potoczyły się losy Karola dokładnie nie wiadomo. Epitafium nagrobkowe, w którym zresztą autor lub kamieniarz popełnił kilka nieścisłości, z natury rzeczy zawiera samą esencję ziemskich przypadków Malinowskiego, a tradycja rodzinna jest szczątkowa. Nie pozostały po nim żadne papiery, żadne dokumenty ikonograficzne, jego nazwisko nie pojawia się we wspomnieniach innych uczestników powstania. Należy więc tylko przypuszczać, że w owych południowych rejonach Lubelszczyzny, gdzie panowały dogodne warunki do prowadzenia działań partyzanckich, walczył najpierw w którymś z oddziałów operujących samodzielnie a dowodzo-

nych przez Krysińskiego, Rudzkiego lub Wagnera, może przez Jankowskiego lub Zielińskiego. Domysły podsuwają nam również Żyrzyn i Fajslawice.

W sierpniu Rząd Narodowy mianował naczelnikiem wojskowym województwa podlaskiego i lubelskiego Michała Heydenreicha (ps. Kruk), wychowanek Akademii Sztabu Generalnego w Petersburgu. I być może pod tym generałem Karol wziął udział w obu tych bitwach. Żyrzyńska zakończyła się zwycięstwem, pod Fajslawicami Polacy przegrali. Heydenreich zdołał odejść z częścią powstańców lecz porażka była dotkliwa: na polu walki zostało 320 zabitych i rannych, 650 dostało się do niewoli. Kto wie czy to nie wówczas, po 24 sierpnia 1863 na liście jenieckiej przy nazwisku Karola Malinowskiego pojawił się dopisek „Sybir”. Gnany tam wraz z innymi, przemierzał tysiące kilometrów drogi, której każdy etap odbierał skazańcom zdrowia, siły i jakąś część nadziei – w jej miejsce wkradała się zabójcza nostalgia. Tymczasem w kraju szalała carska soldateska. Na porządku dziennym były konfiskaty i kontrybucje, uliczne łapanki i zbiorowa odpowiedzialność, ciężkie więzienia i tortury. Z dnia na dzień okupanci formowali nowe kolumny – zsyłka, katorga, obóz przymusowej pracy o szczególnie zaostrzonym rygorze, te stare metody pacyfikacyjne stosowane przez Rosjan, nawet na krótki okres nie uległy zawieszeniu. Kapłana, co przyszedł do konającego powstańca z ostatnią posługą – wieszano, rannych na polu walki – dobijano, poddającym się często nie dawano pardonu – mordowani byli na miejscu. Chaty i wsie, ba całe miasta puszczano z dymem. Ani Stalin, ani Hitler nie musieli łamać sobie głowy, wzorce mieli gotowe. Była to w całej rozciągłości „polityka grozy i tortur, polityka wytepienia i zbrodni” (z „Rozkazu dziennego naczelnika Warszawy z dn. 29.IX.1863 r.”, dokumenty KCN i RN, s. 470). Nie uwierzycie, ale wielki książę Konstanty, oczywiście nie ten brutal i cham o usposobieniu tępego feldjegra, co w latach 1816 – 30 był wodzem naczelnym armii polskiej, tylko ów namiestnik z lat 1862 – 63, w tajnej korespondencji do cesarskiego brata w Petersburgu nazwał to wszystko po imieniu: bestialstwo. A Syberia? Antoni Czechow, znakomity rosyjski dramaturg i nowelista, dwadzieścia parę lat później napisał: „Z jednej strony (panuje tu) brak przesądów stanowych – zesłańców traktuje się jak równych sobie, a z drugiej – całkiem nie uważa się za grzech zastrzelić w lesie jak psa Chińczyka – włóczęgę albo nawet organizować cichcem polowanie na zbiegłych katorżników.” (Dzieła, t. XI, s. 9, W – wa 1962). Malinowski zbiegł; ucieczka się powiodła. Lecz osiągnięcie granicy zaboru austriackiego nie oznaczało dlań końca udręki.

Był już rok 1864. Arcyksiążę Maksymilian Habsburg, który dopiero co w wyniku międzynarodowej intrygi zmotanej przez Napoleona III, zasiadł jako cesarz na meksykańskim tronie, alarmował w sprawie posiłków wojskowych. Rychło bowiem przyszedł do wniosku, że znajdujące się tam już oddziały austriackie i fran-

cuskie z marszałkiem Achille Bazainem nie wystarczą mu do spacyfikowania kraju i utrzymania się przy władzy. Tymczasem w Galicji Wiedeń ogłosił stan oblężenia. Przyjazny dotąd wobec Polaków kurs polityczny zaostrzono. Tych, co w jakikolwiek sposób byli związani z powstaniem poddano represjom. Wtedy to Karolowi, podobnie jak innym więźniom stanu trzymanym we Lwowie, przedłożono propozycję wstąpienia do tzw. Ochotniczego Korpusu Posiłkowego. Po krótkim wahaniu przystał na nią. Chcąc się wypłatać z jednej matni, popadał w kolejną. Najpierw Sybir i ucieczka, potem więzienie, a teraz Meksyk – kraj daleki i egzotyczny, trapiiony wojną domową, dotknięty plagą bandytyzmu, toczący na domiar od paru lat walkę ze zbrojnymi przybyszami z Europy. Pani Maria próbuje wytłumaczyć decyzję swego dzielnego antenata; niepotrzebnie, wszak okoliczności same go tłumaczą. Czyż oskarżano kiedykolwiek tych legionistów generała Dąbrowskiego, których Napoleon wysłał na San Domingo? Z dwojga więc złego: gnić w więzieniu, by na koniec zostać wydanym w łapy oprawców zza kordonu, czy wyruszyć do Meksyku, Karol wybrał to drugie. Za kulisy wielkiej polityki nie zaglądał, jako prosty żołnierz powstania po prostu nie miał takiej możliwości, ale już wcześniej z różnych stron słyszał, że przysłużyć się Habsburgom, to w sposób pośredni przysłużyć się sprawie polskiej. Lecz cała ta wyprawa za ocean skazana była już z góry na klęskę. Wyokrętowany w Vera Cruz, w czasie marszu do Puebli, do koszar, zobaczył kraj smutny i milczący, spaloną słońcem ziemię. Każdy wyczuwał, że są to tylko pozory spokoju, faktycznie Meksyk spływał krwią. Podczas gdy Maksymilian w swoim pałacu stołecznym urządzał nieustającą fiestę: bale, zabawy, przyjęcia – żołnierze jego przemierzali kraj staczając potyczki i bitwy z wojskiem republikańskim Benito Juareza, burząc domy, paląc wsie, wieszając i rozstrzeliwując obrońców meksykańskich.

Coraz częściej zdarzały się jednak porażki i przegrane, jak pod Santa Anna, Tulacingo i Nochistlan, gdzie Karol ledwo uszedł z życiem. W końcu cesarstwo upadło, a cesarz dostał się do niewoli.

Zaś Malinowski zakończywszy tę przygodę wojenną w stopniu sierżanta, wrócił szczęśliwie do kraju i osiadł na stałe w Wieliczce. Ciekawe, czy kiedykolwiek później ogarniał i roztrząsał zdumiewający zbieg przypadków związanych ze śmiercią dwóch cesarzy, którzy tak zaważyli na jego losach. Obydwaj bowiem, zarówno meksykański jak i rosyjski w sposób gwałtowny odeszli w krainę cieni.

I obydwu posłali tam Polacy. W 1881 zamachowiec Ignacy Hryniewiecki pozabawił życia Aleksandra II. Natomiast czternaście lat wcześniej, w 1867, dowódcą plutonu egzekucyjnego, który w imieniu Republiki Meksyku rozstrzelał Maksymiliana pod Queretaro, był ochotnik amerykański w szeregach Juareza – Jan Sobieski, znany później szeroko dziennikarz i adwokat, członek teksańskiej palestry.

Zaraz po przybyciu do Wieliczki pod koniec 1867 roku, jak tyłu innych co znaleźli się w życiowych opałach, przytuliła go kopalnia. W roku następnym Malinowski ożenił się z Antoniną Piątkowską, z którą mieli czworo dzieci. Na to, że pracował w kopalni, potwierdzenia w bezpośrednim źródle nie znajdziemy. Spis pracowników żupy, w którym mogło figurować jego nazwisko zaginął, a księgę „Kasy Brackiej” będącej obecnie w zbiorach Muzeum Żup Krakowskich, założono, kiedy nasz bohater schodził z tego świata. Pani Maria upierała się przy kopalni, tam też zatrudniony był jej ojciec i stryj Karol. I oto w „Liber deffunctorum” (Księga zgonów, archiwum parafialne) znalazłem potwierdzenie słuszności uporu pani Marii. Ksiądz Antoni Gruszecki, ówczesny wikary od św. Klemensa, pod datą 27 grudnia 1883r., datą zgonu Karola Malinowskiego zanotował, że w przeszłości był on pracownikiem salinarnym. W przeszłości, bo na kilka lat przed śmiercią chcąc wyręczyć robotnika w swojej brygadzie tak niezręcznie udźwignął duży ciężar, że doznał rozległej ruptury. Wypadek ten i choroba wyeliminowały go z pracy zarobkowej. Natomiast bezpośrednią przyczyną ostatecznego rozpadu owej udręczonej egzystencji było zapalenie płuc.

Czy za Meksyk Malinowski otrzymał *Virtuti Militari*, jak głosi epitafijny napis? Otóż za oceanem mógł co najwyżej zostać kawalerem orderu Guadelupy, ale nim nie został. Order ten bowiem był przeznaczony dla wyższych szarż; szczycił się nim m. in. Stanisław Wodzicki, hrabia i oficer Maksymiliana („Z ułanami cesarza Maksymiliana w Meksyku”, Kraków 1931).

W dziele Zdzisława P. Wesołowskiego „Order *Virtuti Militari* i jego kawalerowie 1792 – 1992” (Warszawa 1992) okres pomiędzy rokiem 1831 a 1920, to znaczy od Powstania Listopadowego do wojny polsko – bolszewickiej zionie pustką, bo Rząd Narodowy 1863 – 64 odznaczeń w ogóle nie przewidywał. Ale znane są wypadki, że weterani Powstania Listopadowego przesyłali swój order do różnych oddziałów partyzantki styczniowej dla udekorowania zasłużonych w walce.

Nie podważając ani na moment prawdziwości przekazu epitafijnego, po raz kolejny przychodzi nam tonąć w domysłach. Za jaką bitwę go otrzymał, kto go wręczał, kto ofiarował. Jedno jest pewne: mylący napis nagrobkowy był w czasach niewoli zwykłym kamuflażem. Szło o wyprowadzenie w pole zaborcy austriackiego, który, owszem, na wiele Polakom zezwalał, lecz nie życzył sobie czczenia aktualnych bohaterów narodowych.

Społeczeństwo wielickie ufundowało w 75 – lecie wybuchu Powstania Styczniowego, tablicę pamiątkową umieszczoną na ścianie kaplicy cmentarnej, gdzie pośród innych imion, znalazło się także imię Karola Malinowskiego.

Władysław Żołubak

TERESA RUDOWICZ MALARSTWO



Teresa Rudowicz (1928 – 1994), ur. w Toruniu, zm. w Krakowie. Artystka-malarka, członkini Grupy Krakowskiej. Dzieła jej pędzla znajdują się w galeriach i muzeach polskich, włoskich, francuskich, amerykańskich i innych, oraz w kolekcjach prywatnych.

Malarstwo o charakterze religijnym posiada długą i bogatą tradycję. Nie było chyba aż do czasów nam współczesnych artysty, który z tą tematyką nie próbował się zmierzyć. Ich zadaniem było organizowanie zbiorowego widzenia spraw świętych. Dzisiaj, w zdesakralizowanym świecie dzieła starych mistrzów nie stanowią martwego już ideału, ale nie wystarczają. Świat nadal potrzebuje sztuki. „Także Kościół potrzebuje sztuki. Nie po to, ażeby zlecać jej zadania i w ten sposób zapewnić sobie jej służbę, ale przede wszystkim po to, ażeby osiągnąć głębsze poznanie *conditio humana*, wspaniałości i nędzy człowieka. Kościół potrzebuje sztuki, aby lepiej wiedzieć, co kryje się w człowieku, któremu ma głosić Ewangelię” – powiedział papież Jan Paweł II w roku 1983 w Wiedniu, sam również artysta, tyle że mówionego i pisanego słowa. Oczekiwania idą w kierunku uzewnętrznienia przez artystów ich przeżyć duchowych, będących wynikiem procesu dochodzenia do *sacrum*. Chcąc mówić o twórczości religijnej nowego typu nie sposób pominąć wybitnej malarki Teresy Rudowicz. Stąd mój artykuł.

Aby zaczerpnąć czystej wiedzy najlepiej stanąć u źródła. Drzwi na Basztowej w Krakowie otworzył mi wysoki, mierzący około metr dziewięćdziesiąt wzrostu, szczupły i prosty jak trzcina pan o ujmującym uśmiechu i stonowanym sposobie bycia. Marian Warzecha. Jeden z głównych filarów awangardy artystycznej tamtych czasów. Prywatnie mąż bohaterki niniejszego tekstu.

Poznali się jeszcze w krakowskim Liceum Sztuk Plastycznych. W roku 1959 pan Marian wyjechał do Włoch. Niedługo potem, na zaproszenie włoskiego odgałęzienia rodziny Warzechów, zjawiła się nad Tybrem Teresa Rudowicz. 11 lipca 1959 w bazylice św. Piotra w Watykanie, na stopniach ołtarza kaplicy Najświętszego Miłosierdzia wzięli ślub, którego im udzielił ks. prałat Andrzej Maria Deskur, później kardynał. Zamieszkali w Grottaferrata, skąd do centrum Wiecznego Miasta było zaledwie dwadzieścia minut drogi autobusem. Znana rzymska galeria „L’Obelisco” przyjmuje i wystawia ich obrazy, obrazy znajdują nabywców. Są to ich pierwsze sukcesy za „żelazną kurtyną”. Latem następnego roku wracają do kraju. Tu zaś wobec artystów niepokornych i o skażonej ideologicznie przeszło-

ści władza ówczesna nie była skora do żadnych ustępstw. A w jej oczach Teresa Rudowicz miała sporo na sumieniu: potomkini szlachecko – ziemiańskich kresowiaków, ojciec – oficer sanacyjnych sił zbrojnych, ślub, i to kościelny, w obcym państwie, pierwsze wystawy zagraniczne bez uzgodnienia (czytaj: bez zezwolenia) choćby z jakimś woźnym stosownego ministerstwa. Było tego oczywiście więcej. W ramach zadekretowanego socrealizmu oczekiwano dzieł realistycznych aż do bólu zębów, tymczasem ona preferowała twórczość abstrakcyjną. Toteż trudności przed nieugiętą artystką piętrzyły się na każdym kroku. Walka szła o wszystko, o rzeczy ważne, jak godność i niezależność twórcy, ale i o pozornie błahe. O farby, których brak przez lata dotkliwie odczuwano, o paszport, o pracownię, o możliwość zorganizowania wystawy. W płótno zaopatrywaliśmy się pokątnie u góralek pod Sukiennicami – wspomina pan Warzecha – kłopot był w tym, że dopiero naciągnięte na blejtramy niejednokrotnie okazywało się buble.

Mówiąc nawiasem atmosfera wokół abstrakcjonistów w Polsce w ogóle była gęsta, nieprzyjemna. Rudowicz nie za wiele to obchodziło, uparcie robiła swoje. Oprócz więc wysokich walorów jej twórczości, krytycy na Zachodzie podnosili odwagę i niezależność artystki. Wyrazem czego było przyznanie jej oraza mężowi pierwszego w Polsce stypendium dla wybitnych malarzy przez amerykańską Fundację Kościuszkowską. W Nowym Jorku przebywali sześć miesięcy, od listopada 1971 do maja 1972, tworząc, wystawiając i sprzedając tam swoje dzieła.

Ilość i geografia jej wystaw indywidualnych, a także zbiorowych, w których brała udział jest imponująca. Tych pierwszych Teresa Rudowicz miała dwanaście, oczywiście nie licząc kilku pośmiertnych, drugie zaś przekroczyły liczbę sto. Odbiorców swej sztuki znajdowała w licznych miastach polskich. Za granicą natomiast w Paryżu, Sztokholmie, Helsinkach, Kopenhadze, Belgradzie, Nowym Jorku, Los Angeles, Pittsburgu, Meksyku, Caracas, Rio de Janeiro, Hawanie. To tylko część ośrodków kulturalnych, do których dotarła ze swoją sztuką. Wszędzie zachwycano się poezją, głębią i dynamizmem jej twórczości. W ciągu całej swej aktywności twórczej Rudowicz pracowała nad fundamentalnymi problemami czasu i przemijania, bólu, cierpienia i kruchości egzystencji ludzkiej, nad związkami materii ze świadomością i pozazmysłowym doznaniem. Od połowy lat siedemdziesiątych aż do śmierci w roku 1994, czyli dwadzieścia lat bez mała parała się również twórczością o charakterze religijnym. Autorzy nadzwyczaj skąpych haseł encyklopedycznych (np. Encyklopedia Popularna PWN, wyd. 33, edycja 2006) okres ten całkowicie wymazali z jej życiorysu artystycznego. Podali natomiast jedną wiadomość niepełną tam, gdzie mowa o jej członkostwie w Grupie Krakowskiej, a była przecież członkiem założycielem tej Grupy; oraz drugą, draż-

niąco bałamutną, jakoby w pierwszej fazie swej twórczości malowała ekspresyjne krajobrazy, a więc pejzaże, podczas gdy jako żywo nigdy tego nie robiła.

W Toruniu urodzona, z miastem tym na krótko tylko była związana. Potem mieszkała w Bielsku Białej, a od roku 1935 w Krakowie. Zwykły los rodziny, w której mąż i ojciec jest żołnierzem. Lecz z wybuchem wojny sprawy zaczynają się wikłać. Pułkownik Edward Rudowicz idzie na front. 17 września 1939 przekracza z innymi granicę w Zaleszczykach a niebawem, jako wysokiej rangi oficer zostaje w Rumunii internowany.

Osamotniona rodzina, pani Walentyna i obie córki: jedenastoletnia Teresa i o cztery lata młodsza Jolanta znów ruszają w drogę, tym razem na poniewierkę. Okres wojny spędza więc Teresa początkowo u dziadów na Wileńszczyźnie, następnie w Lidzie, w Warszawie, i najdłużej w Wieliczce, przy dzisiejszej ulicy Kazimierza Wielkiego, w domu zakupionym przez rodziców jeszcze przed wybuchem wojny. Mieszkała tu z mamą, siostrą i babcią macierzystą. Z archiwaliów parafialnych udostępnionych mi przez ks. Zbigniewa Gerle, proboszcza Parafii św. Klemensa wynika, że owa babcia, Eugenia Korwin-Mikucka, wdowa po Józefie, a córka Eustachego Żalubowskiego i Zofii Czerniawskiej, matka Walentyny, rodzicielki Teresy Rudowicz, ur. 13 grudnia 1882 w Dniepropietrowsku zmarła 3 lutego 1953, co prawda w Krakowie, ale żyła w Wieliczce i na miejscowym cmentarzu została pochowana (kw.V). To ona dbała o cały dom. Teresa ukończyła podstawówkę i poszła do Szkoły Handlowej w Wieliczce. W dzielnicy Lekarka, gdzie mieszkała, przyjaźniła się z grupą rówieśników, wśród których był także Konrad Swinarski, później wybitny reżyser teatralny. Malarstwo Teresy Rudowicz, w tym malarstwo religijne, stanowi sumę doświadczeń całego jej bogatego życia, a zwłaszcza cierpień związanych z pełną świadomością nieuchronnego, przedwczesnego końca; jest wyrazem najgłębszych przeżyć tej wybitnej artystki. Mistrzyni lirycznego nastroju, ideogramów i metafory w „Ucierniowaniach” i „Ukrzyżowaniach” wzniosła się na wyżyny, jakie w czasach nam obecnych niewielu artystów osiągnęło.

Władysław Żołubak

**BŁOGOSŁAWIONY KRYSTYN GONDEK
W WIELICZCE WZRSTAŁ DUCHOWO, ODDAŁ
SWE MŁODE ŻYCIE ZA WIARĘ, GDY NIEMCY
DOKONYWALI EKSTERMINACJI POLSKICH
DUCHOWNYCH**



Z Wieliczką związany jest także błogosławiony Krystyn Gondek (1909-1942), to zakonne imię które przyjął Wojciech, który urodził się 6 kwietnia 1909 r. we wsi Słonna, w diecezji tarnowskiej. Naukę kontynuował w gimnazjum a później Kolegium Franciszkanów w Lwowie, gdzie przebywał w latach 1925-1928. Został zamęczony przez Niemców w obozie koncentracyjnym. W ramach „fizycznej akcji eksterminacji”, gdy gestapo aresztowało wrocławskie duchowieństwo .

W Wielicze rozpoczął on nowicjat 25 lipca 1926r. a pierwsze śluby zakonne złożył w roku 1929 (czyli był tu w czasie pobytu brata Alojzego Kosiby), po czym przeniesiono go do Krakowa. Pierwszą posługę miał w klasztorze w Chełmie, później Włocławku, który po wybuchu II wojny światowej znalazł się w tzw. „Okręgu Rzeszy Kraj Warty”, który włączono do Niemiec. Włocławek „(...) został objęty akcją fizycznej eksterminacji polskiej inteligencji oraz polskich warstw kierowniczych. W jej ramach 26 sierpnia 1940r. aresztowane zostało przez gestapo prawie całe duchowieństwo wrocławskie. Wśród zatrzymanych franciszkanów był także o. Krystyn. Aresztowanych zawieziono do obozu przejściowego w Szczeglinie. Po krótkim pobycie o. Krystyn przewieziony został do niemieckiego obozu koncentracyjnego Sachsenhausen. Stamtąd w 1940r. przewieziono go do Dachau, gdzie otrzymał numer 22779. (...) O. Krystyna przeniesiono do obozowego „szpitala”, gdzie zmarł 23 lipca 1942r. z wyczerpania i głodu. Jego ciało spalono w obozowym piecu krematoryjnym, a prochy rozrzucano po okolicznych polach”. (inf. Brewiarz.pl Czytelnia 23 lipca)

Krystyn Gonek został beatyfikowany przez św. Jana Pawła II w Warszawie 13 czerwca 1999r. w gronie 108. polskich męczenników II wojny światowej wraz z franciszkanami: o. Anastazym Pankiewiczem, br. Brunonem Zembola, br. Marcinem Oprządkiem i o. Narcyzem Turchanem.

Wielicka szkoła przy ul. Br. Alojzego Kosiby 31, Prywatne Liceum Ogólnokształcące Franciszkanów (OFM) - Kolegium św. Antoniego nosi także imię błogosławionego Krystyna Gondka. Kolegium, oznacza, że jest to męska szkoła średnia z internatem. Bo są i związki historyczne z seminarium i miejscem pobytu Krystyna Gondka we Lwowie. Ojcowie Reformaci, w 1918 roku otworzy-

li tam właśnie pierwsze polskie Niższe Seminarium Duchowne i Kolegium dla młodzieży męskiej z ubogich rodzin. Obecnie kościół objęli tam chrześcijanie obrządku prawosławnego, a klasztor wraz z budynkiem internatu jest kamienicą czynszową. W 1939 roku placówka ta została przeniesiona do Polski, do Wieliczki. Szkołę prowadzi Prowincja Matki Bożej Anielskiej Zakonu Braci Mniejszych (OFM) z siedzibą w Krakowie.

Barbara Zapadlińska

NIEZNANI, SPOCZYWAJĄCY W KOZICH GÓRKACH KRZYK W PUSZCZY



Przy tym tekście nie będzie zdjęcia osoby/osób, jedynie symbolicznie pomnik upamiętniający zabitych bestialsko przez Niemców ponad 1000 mieszkańców Wieliczki, Gdowa, Krakowa, Dobczyc, a nieopodal drugi, gdzie upamiętniono 700 osób pochodzenia żydowskiego, z powyższych miejscowości oraz Mogiły i Niepołomic. Tu spotkała niewinnych ludzi w czasie II wojny światowej straszliwa śmierć, zadana przez niemieckich żołnierzy. Oni też tworzą historię, choć tak tragiczną, naszego powiatu. Gmina Niepołomice zrobiła wszystko, aby uzyskać ich nazwiska, Niemcy pod koniec wojny, zatarli ślady. Ale my – pamiętajmy,

W Puszczy Niepołomickiej, dwa kilometry na południe od Niepołomic znajdują się dwa miejsca Pamięci Narodowej – pomniki – wskazujące, gdzie w czasie II Wojny Światowej rozegrały się straszliwe wydarzenia. Ilu ludzi, na terenie około 12 ha, rozstrzelał okupant niemiecki, nie wie nikt. Pierwsza egzekucja odbyła się w listopadzie 1939 – byli to więźniowie gestapo z Montelupich z Krakowa. Najmniejsze szacunki wskazują na co najmniej 1000 osób (choć są zapisy o trzech masowych egzekucjach (sierpień 1942r. – w pierwszym transporcie z Krakowa 1000 osób, w drugim 27 listopada 1942r. – 500 osób i trzecim 11 grudnia 1942r. – 500 osób) mieszkańców Wieliczki, Gdowa, Krakowa, Dobczyc a także jeńców włoskich i francuskich (miejsce to wskazuje pomnik – fot. 1), oraz 700 osób pochodzenia żydowskiego, z powyższych miejscowości oraz Mogiły i Niepołomic, rozstrzelanych przez Niemców w innym miejscu, które wskazuje drugi z pomników). To tutaj rozstrzelano wielu niewinnych ludzi, wśród nich był prezydent Krakowa dr Stanisław Klimecki.

Kozie Góry stanowią część Puszczy Niepołomickiej, znajdują się z dala od miasta, na obrzeżach, gdzie teren jest całkowicie niezamieszkały. Najwidoczniej okupant niemiecki obrał to miejsce z tego powodu. W ciszy Puszczy, którą w tym miejscu stanowią zalesione wydmy, i zapewne też na dalej zlokalizowanych terenach, dokonywali Niemcy masowych egzekucji. Prawdopodobnie nie było bezpośrednich świadków tych zdarzeń, na pewno okoliczni mieszkańcy oraz przebywający przypadkowo wówczas w Puszczy, słyszeli strzały i mogli zapamiętać lokalizację. Do zasypywania grobów i prac porządkowych w Niepołomicach posługiwano się specjalnymi jednostkami niemieckimi „Baudienst” (Służba Budowlana) - jak pisze Anna Siwek, Antoni Siwek w „Kronice Niepołomic” - w któ-

rej pod dowództwem niemieckim pracowali przymusowo wcieleni młodzi Polacy. Znajdowali oni wówczas wiele przedmiotów wyrzuconych przez więźniów. Na zasypanych grobach sadzono sosnowe lasy.

Obecnie na pierwszym obelisku, który w tym miejscu symbolicznie postawiono, znajduje się napis: *„Miejsce to zbroczone jest krwią około 1000 patriotów polskich i obcych, wymordowanych przez hitlerowców w roku 1943.”* Wokół jest kilka niskich krzyży. Ogrodzenie pomnika jest symboliczne w tym znaczeniu, że on tylko wskazuje miejsce – bowiem nie jest to mogiła zbiorowa. Miejsc kaźni, których lokalizacja jest nieznana, jest wiele. Przywiezieni do Puszczy nasi przodkowie-patrioci, byli przez hitlerowców rozstrzeliwani nad dołami wykopanymi w ziemi. Takich grobów, w pewnym sensie można powiedzieć, jak w Katyniu, może być wiele. W Puszczy znajdowano szczątki ludzkie. Zgodnie ze spisaniem świadectwem Franciszka Sydry, leśniczego, odnaleziono jeden ze zbiorowych grobów. Wskazał go po wojnie. W październiku 1943 roku widział z ukrycia, jak do Puszczy przyjechał konwój niemiecki, gdzie z dwóch samochodów krytych, w których było po około 50 osób, wyprowadzono więźniów w jakby papierowych ubraniach „jak piżamy” a niektórzy mieli zaklejone usta jakby „zagipsowane”. Usłyszał wówczas strzały i krzyk „Marija”. Są i kolejne świadectwa pracowników leśnych. Wspomina się też w zapisach tracenia w Puszczy jeńców radzieckich – oficerów politycznych.

Tak pisze Julian Zinkow w książce „Wokół Niepołomic i Puszczy Niepołomickiej. Przewodnik Monograficzny” - okoliczności tych wydarzeń były następujące: „(...) Począwszy od września 1939 roku okupant hitlerowski na zajętych przez siebie terenach Polski dopuszczał się masowych zbrodni, dokonywanych przede wszystkim na inteligencji, duchowieństwie, działaczach konspiracyjnych i tym podobnych. Akcję tę rozpoczął między innymi w Kozich Górkach już w 1939 roku i kontynuował aż do 1943 roku. Duża odległość od zamieszkałych miejsc i głąb lasu, zapewniały Niemcom doskonałe maskowanie tych poczynąń. W listopadzie 1943 roku po raz pierwszy rozstrzelano tu dużą grupę osób, przywiezionych z więzienia Gestapo przy ulicy Montelupich w Krakowie. Tu również zginął dr Stanisław Klimecki. Na początku okupacji pełnił on obowiązki prezydenta Krakowa (przed wojną był wiceprezydentem). W listopadzie 1942r. został aresztowany i 11 grudnia rozstrzelany na Kozich Górkach. Co pewien czas odbywały się dalsze egzekucje. W dniach 10-15 grudnia 1943 roku Niemcy dokonali na Kozich Górkach masakry blisko tysiąca osób z Krakowa, Gdowa, Dobczyc, Niepołomic i Wieliczki, wśród których było wielu zakonników i księży, jeńców francuskich oraz oficerowie i żołnierze włoscy. Włosi osadzeni byli w obozie w Woli

Duchackiej (Płaszowie) za odmowę udania się na front wschodni. Tu zbuntowali się i zabili kilku strażników niemieckich (...)”

Ofiary bestialstwa wrzucono do olbrzymich grobów – to zapisy z krótkiej notki z archiwalnego wydania Dziennika Polskiego z 25 marca 1945r., gdzie na końcu zaznaczono, że okoliczni mieszkańcy znają lokalizację masowych grobów.

Miejsce ich wiecznego spoczynku otacza cisza Puszczy Niepołomickiej, szum liści, śpiew ptaków. Przechodzący szlakami patriotycznymi i turystyczno-przyrodniczymi zatrzymują się, modlą.

Julian Zinkow w zacytowanej wyżej publikacji pisze, że około 250 metrów dalej znajduje się w gęstwinie leśnej, trudny do odszukania masowy grób Żydów, również pomordowanych przez Niemców. Na ogrodzonym cmentarzyku znajduje się napis: „Cześć Pamięci Męczennikom. Tu spoczywa około 700 ofiar żydowskich zamęczonych i rozstrzelanych przez zbirów hitlerowskich (27.VIII.1942)”. Wśród zamordowanych ofiar z Krakowa, Wieliczki, Doczyc, Gdowa, Mogiły i Niepołomic /znajdują się/ bł p. (tu podano 79 nazwisk przyp. J.Z.). Pomnik postawił Grunbaum Mozes Przewodniczący Żyd. Kongregacji Wyznaniowej w Niepołomicach.

Aż trudno sobie wyobrazić ogrom tragedii jaka dokonała się w tej części Puszczy Niepołomickiej. Gmina Niepołomice czyniła bardzo intensywne poszukiwania we wszystkich dostępnych archiwach polskich i niemieckich, aby uzyskać jak najwięcej informacji a nade wszystko nazwisk bestialsko zamordowanych, bezimiennych, pochowanych w ziemi, wspaniałych osób, patriotów, wszystkich narodowości. Najwięcej swych ofiar Niemcy rozstrzelali tuż przed Bożym Narodzeniem w 1943 roku. **Urząd Miasta i Gminy Niepołomice, po odnalezieniu pewnej ilości nazwisk ofiar, gdyż Niemcy zniszczyli dokumentację więzienia na Montelupich, zorganizował uroczystości upamiętniające poległych na Kozich Górkach (W 2017r. minęło 75 lat od rozstrzelania prezydenta Klimeckiego). Po latach bardzo trudno odtworzyć przeszłość, którą Niemcy chcieli skryć w cieniu Puszczy. My – odwiedzajmy to miejsce, znajdujące się nieopodal drogi głównej, tuż przy szlaku turystycznym.**

Informacja przygotowana na podstawie materiałów będących w posiadaniu Gminy Niepołomice do tekstu który ukazał się w Panoramie Powiatu Wielickiego - wydaniu grudniowym 2016 roku.

Barbara Zapadlińska

SPIS TREŚCI

Słowo wstępne	5
Historia Panoramy Wieliczki i Panoramy Powiatu Wielickiego	8
Zbigniew z Brzezia	11
Marszałek wielki koronny	
Sługa Boża s. Emilia Aurelia Podoska	13
Ofiarowała Bogu życie	
Walerian Czuma	17
Z Niepołomic	
Ludwik Solski	20
Matejko polskiego teatru	
Antoni Mikołaj Pajdak	24
Żołnierz, działacz państwowy, zesłaniec	
Błogosławiony o. Narcyz Jan Turchan OFM	27
Patron publicznej szkoły podstawowej w Trąbkach	
Artur Grottger	31
Śledziejowski ślad	
Sługa Boży Ojciec Anzelm Gądek	35
Z Marszowic do świętości	
Erazm Niedzielski	38
Numizmatyczny kontrakt stulecia	
Sługa Boży brat Alojzy Kosiba	42
O wielickim kwestarzu	

Karol Wojtyła	45
Tu bywał	
Konrad Swinarski	49
Lata śląskie i wielickie	
Józef Duda	53
Amerykańska przygoda	
Błogosławieni Michalici z Pawlikowic Błogosławieni Władysław i Wojciech	61
Oddali życie za ojczyznę i dla podopiecznych	
Bohaterki Wrześni	64
Mieszkały w Wieliczce	
Jakub Wajda i syn Andrzej Wajda	68
Z Szarowa w świat	
Szczęśny Boczkowski	73
Lekarz godny pomnika	
Karol Malinowski	85
Powstaniec, sybirak i żołnierz cesarza Maksymiliana	
Teresa Rudowicz	91
Malarstwo	
Błogosławiony Krystyn Gondek	94
W Wieliczce wzrastał duchowo, oddał swe młode życie za wiarę, gdy Niemcy dokonywali eksterminacji polskich duchownych	
Nieznani, spoczywający w Kozich Górkach	96
Krzyk w puszczy	